Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem.

ŁOWIEC POLSKI



Przerwał... zauważył...

Fot. J. Bończa - Markowski.

ORGAN

POLSKIEGO ZWIĄZKU ŁOWIECKIEGO

Nr. 12 (860)

20 KWIETNIA 1937 R.



Na poleskiej „autostradzie". Fot. J. Bończa - Markowski.

PODSTAWY ETYKI ŁOWIECKIEJ.

Artykuł p. Konstantego Komierowskiego, umieszczony w Nr. 28 „Łowca Polskiego" z 1936 r. zapoczątkowuje dyskusję na temat ustalenia pewnych zasad etyki łowieckiej. Wszystkie wywody autora, przykłady przezeń załączone, nie nasuwają żadnych zastrzeżeń — poza jednem: czy słusznie w przytoczonych wypadkach użyty jest termin „etyka łowiecka" i czy w większości ich nie mamy do czynienia z przejawami, świadczącemi raczej o braku wszelkiej kultury łowieckiej. W potocznej mowie napotykamy nieraz niedość ścisłe rozgraniczenie pojęć kultury i etyki łowieckiej. Pozwolę sobie przytoczyć parę uwag, dotyczących etyki i o skojarzeniu tego pojęcia z innem, które nazywamy łowiectwem.

Posiadamy następujące określenia pewnych pojęć: uczciwość, etyka, przyzwoitość, honorowość. Jeżeli je rozpatrywać z punktu widzenia pokrewnych im cech, to trzy ostatnie nazwać można bliźniaczemi, a pierwsze wyodrębnić do innej rodziny o pewnych ściśle określonych odmiennych cechach, kulturę zaś można mianować matką tego rodu.

Uczciwość jest to cecha wrodzona, nabyta, lub narzucona rygorami prawa, która bez względu na poziom kultury jednostki daje się ściśle sprecyzować. Dla zdefinjowania, czy dany postępek jest uczciwy, obojętnem jest kto go popełnił, bo wystarcza przeświadczenie, że jest on, lub nie, w kolizji z kodeksem karnym, lub cywilnym. Dla określenia stopnia uczciwości, lub odpowiedzialności jednostki, to sprawa inna; wówczas cechy indywidualne muszą być wzięte pod uwagę, ale nie należy identyfikować uczciwości, jako pojęcia oderwanego z określeniem stopnia uczciwości, lub odpowiedzialności jednostki.

Pojęcia: przyzwoitość, etyka, honorowość nazwałem bliźniaczemi przedewszystkiem dlatego, że można do nich wszystkich dostosować tę samą maksymę: nie wszystko to, co jest prawem dozwolone i niekaralne — jest przyzwoite, etyczne i honorowe. Pozatem granice tych pojęć tak blisko się stykają, tak są zależne od indywidualnych zapatrywań, czy dany postępek był przyzwoity, czy etyczny, lub etyczny, czy honorowy, że można natrafić na rozmaite interpretacje. Jeżeli potraktujemy przyzwoitość, jako znajomość savoir-vivre'u, a honorowość, jako poczucie godności osobistej, to przekonamy się, że one luźnie tylko mogą być związane z pojęciem, które nazywamy łowiectwem. Rzadko chyba można spotkać się z definicją: przyzwoity, lub honorowy myśliwy; etyka natomiast nieraz wiąże się z postępkiem łowieckim, lub indywidualnie z osobą myśliwego. Wyeliminuję wobec tego z orbity moich rozważań przyzwoitość i honorowość, a przejdę do możliwie ścisłego zdefinjowania etyki i związania jej z łowiectwem.

Etyka jest to uczucie wrodzone, które każden sam

w sobie nosi i dyktuje mu nie to co można, lub nie można, bo tego może dowiedzieć się z kodeksów, ale to, jak należy, lub nie należy w danym wypadku postąpić. Nazwać ją można wysubtelnionem, niewymuszonem poczuciem uczciwości, nie dyktowanem prawem i jego rygorami, a istnienie i skala tego uczucia uzależniona jest od szczebla kultury jednostki.



Z polowań na kaczory. Kureń w Parochońsku.
Fot. Broel-Plater.

Pojęcie etyki, skojarzone z pewnym konkretnym faktem, w przeciwieństwie do pojęcia o uczciwości, nie daje się sprecyzować bez uwzględnienia indywidualnych cech osobnika, który go popełnił. Jeżeli zadadzą mi pytanie z dziedziny łowieckiej, w której czuję się kompetentny do zabierania głosu, czy naprzykład: zabicie maciory od młodych, rozpłoszenie toków głuszcowych, lub strzelanie na nieodpowiednie mety i kaleczenie zwierzyny, czy te wszystkie fakty mogę zakwalifikować jako nieetyczne — odpowiem, że nie wiem. Na to, żeby sąd o nich wydać, muszę wiedzieć kto i w jakich okolicznościach je popełnił. Bez tych danych nazwę je postępkami niekulturalnemi, lub całkiem normalnemi dla osobników o niskiej, lub żadnej kulturze, jak kto woli.

Przenośnia, którą użyłem, nazwawszy kulturę matką etyki, być może jest nieuzasadniona z tego względu, że niesłusznem byłoby traktować osobników pozbawionych wszelkiej kultury, jako wyzutych z poczucia etyki. Jeżeli przy pilnej obserwacji spotykamy objawy etyki wśród zwierząt, mając przykład chociażby względów okazywanych wśród psów wiekowi i płci, to trudno przypuścić, by człowiek, nawet o najniższym szczeblu kultury, był z niej wyzuty. Ale etyka ta będzie tak swoista, że dla osobnika o wyższym jej poziomie, może być nieuchwytną. Tembardziej człowiek na niższym szczeblu kultury nie może pojąć wymagań etyki, podyktowanych wyższym jej poziomem. Wynika z tego, że wszelka dyskusja i głoszenie zasad etyki łowieckiej, może mieć zastosowanie wśród pewnych grup i środowisk o jednakowym poziomie kultury.

Łowiectwo, będąc rozpowszechnione na przestrzeni całego świata, stwarza to zjawisko, że społeczeństwo łowieckie nie jest jednolite, a różnorodne pod względem ras, narodowości, socjalnego szczebla, a co z powyższego wynika i kultury. Stwarzać, lub głosić wobec tego jakichś ogólnych podstaw i zasad etyki łowieckiej niepodobna. Mogą być one głoszone i propagowane tylko wśród pewnych grup, które z rozmaitych względów etnograficznych, ekonomicznych i narodowościowych połączyły się w niewielkie społeczeństwa łowieckie, a głównym ich łącznikiem powinien być możliwie jednolity poziom kultury. Ten ostatni warunek stwarza pewną kastowość w składzie osobistym społeczeństw łowieckich, co skwapliwie jest wykorzystywane dla celów antyłowieckiej propagandy przez demagogów, dowodzących, że łowiectwo jest prerogatywą tylko pewnej kasty uprzywilejowanych.

Nie słyszałem, by ktokolwiek usiłował ująć normy etyki łowieckiej w jakiś kodeks, a jeżeli o tem nadmieniam, to dlatego, że podobno istnieje bliźniaczy etyce kodeks honorowy, który rzekomo traktuje nietylko o procedurze postępowania honorowego, ale też o kwalifikacjach i samem meritum postępku honorowego. Nie rozumiem, jak można kwalifikować i ustalać, jako obowiązujące normy, pewne subjektywne uczucia, te coś, co każdy indywidualnie powinien nosić w sobie, a braku tego żaden kodeks nie uzupełni. Rozwijając tę myśl, możliwym okazałby się kodeks przyzwoitości, czy savoir-vivre'u, któryby pouczał, czy wypada jeść nożem rybę, nos ucierać w serwetę i t. p. Uważam, że normy etyki łowieckiej nietylko nie mogą być kodyfikowane, ale nawet wśród nielicznych i zamkniętych grup łowieckich z wielką rezerwą głoszone, a tembardziej piętnowane.

Łącząc pojęcie etyki z łowiectwem, należy ją automatycznie skojarzyć z tym, który to łowiectwo uprawia, czyli z myśliwym; wobec tego, temu ostatniemu parę słów poświęcę.

Myśliwi są skoncentrowani wszyscy w jednej grupie i nie mamy w naszej terminologji określeń, któreby zaznaczały różnice w skali, istniejącej pomiędzy nimi. Nie mamy niestety takiego podrozdziału, jak np. w muzyce, na grajków, muzykantów, muzyków, kompozytorów, który tak świetnie tę skalę w tej dziedzinie uwydatnia. W naszej biednej terminologji łowieckiej dla określenia osobnika, który jej procedurę uprawia, mamy jedyne określenie — myśliwy. A jakby się przydało, gdyby pewne gradacje w rodzaju „polowacz", „strzelacz" i t. p. zyskały prawo obywatelstwa. Przecież źródłosłów słowa myśliwy jest myśl, a wieluż poluje, lub właściwie strzela bezmyślnie i mimo to zwą się myśliwymi.

Postaram się sprecyzować, zgodnie z obecnym poziomem kultury łowieckiej, te wymagania, które są niezbędne dla zdobycia tytułu prawdziwego myśliwego.

Prawdziwy myśliwy powinien być przedewszystkiem prawdziwym miłośnikiem przyrody; powinien wyczuwać cały czar tego otoczenia, które stwarza łowiectwo; nie powinien unikać, jak to wielu czyni, a dążyć do osiągnięcia wszystkich tych wrażeń, które może dostarczyć, czasem nawet uciążliwa, procedura łowiecka; powinien mieć psychikę konstrukcyjną w najszerszem tego słowa znaczeniu; nie powinno być jego celem jak najmniejszym wysiłkiem i zachodem upolować jak największą ilość sztuk, lecz osiągnąć maksimum rezultatów, wrażeń i przeżyć łowieckich, a jednocześnie otoczyć należytą ochroną i opieką ten objekt łowny, który jest źródłem jego rozkoszy łowieckich. Jeżeli myśliwego tak zdefinjujemy, to bez wyjątku każdy myśliwy, a jednocześnie kulturalny człowiek, powinien posiadać kulturę łowiecką.

Życie jednak przeczy tak prostej i jasnej zasadzie. Zbyt często spotykamy kulturalnych myśliwych, którzy nieraz postępują wbrew zasadom, ustalonym przez kulturę łowiecką. Czem się to tłomaczy? Rozwiązuje tę kwestję znane powiedzenie, że nie wszystko jest złotem, co się świeci; nie każdy pan, który poluje, jest myśliwym i nie każdy wytwornie ubrany i ułożony — jest kulturalną jednostką.

Nawet najwytrawniejszy lekarz przy określaniu temperatury posługuje się termometrem i nie będzie polegał na zewnętrznych objawach. My zaś, nie mając takiego termometru, pozostawieni jesteśmy na łaskę często złudnych pozorów. Wolimy nieraz

osobnika, który powinien posiadać kulturę, który posiada zewnętrzne jej cechy, nie odsądzać ze stanu jej posiadania, a jakiś wyraźnie niekulturalny jego postępek — podciągać pod kategorję braku etyki.

Czy takie postawienie kwestji jest słuszne? Nasuwa się jeszcze jedno pytanie, czy niekulturalny postępek można nazwać nieetycznym i odwrotnie? Myśl powyższą postaram się rozwinąć szerzej.

Nawiązując do poprzednio przytoczonego określenia etyki, którą nazwałem wysubtelnionem, dobrowolnem poczuciem uczciwości, postaram się na tej płaszczyźnie przeprowadzić analogję pomiędzy etyką i uczciwością.

Pojęcie o uczciwości w pierwotnem prawodawstwie było skojarzone li tylko z faktem pogwałcenia pewnych praw publicznych, lub jednostki. Nie miało zastosowania w dobie niewolnictwa do tej licznej kategorji ludzi, a tembardziej do zwierząt i rzeczy martwych, gdy były one bezsporną własnością obdarzonego pełnią praw obywatela. Pod wpływem kultury, po upadku niewolnictwa, po zrównaniu praw jednostek, widzimy stopniową ewolucję i ingerencję prawa, przewidującą przestępstwa w stosunku do zwierząt, a z biegiem czasu i do przedmiotów martwych. Dziś ten stosunek we wszystkich kulturalnych krajach jest uregulowany w tej lub innej formie, w mniejszym lub większym stopniu. Wbrew temu, co było dawniej, wszelkie znęcanie się nad zwierzętami, nawet gdy nie narusza ono niczyich praw, jest postępkiem karalnym, nieuczciwym. W stosunku do przedmiotów martwych, będących nawet bezsporną własnością, widzimy skrępowania i ograniczenia. Dzieła sztuki, zabytki, pamiątki i t. p., które obecny poziom kultury kwalifikuje jako dorobek publiczny, są wzięte pod ochronę prawa, a wszelkie uszkodzenia, niszczenie, lub brak konserwacji uznane są za przestępstwa.

Etyka, jako przyrodnia siostra uczciwości, przechodzi podobne ewolucje. Dziś postępek nieetyczny adaptuje się przeważnie do wzajemnych stosunków pomiędzy ludźmi, rzadziej do zwierząt, a nigdy do rzeczy martwych. Etyka, przy skojarzeniu jej z pojęciem łowiectwa, posiada te same gradacje. Postępek nieetyczny w stosunku do towarzyszy łowów, do właściciela łowiska, to sprawa jasna, w stosunku zaś do objektu łownego niezawsze trafnie może być dostosowany.

Weźmy konkretny przykład: rozpłoszenie toków głuszcowych, czy jest to postępek nieetyczny, czy niekulturalny? Jeżeli to nastąpiło na cudzem, lub wspólnem łowisku, może to być postępek nieetyczny i niekulturalny jednocześnie. Nieetycznym może on być w stosunku do właściciela, lub współwłaściciela łowiska, wobec niekaralnego naruszenia cudzych praw, a niekulturalnym jest w stosunku do objektu łownego. To samo przestępstwo, uczynione na własnem łowisku, gdy nie naruszy ono niczyich praw prócz własnych, jest postępkiem wyłącznie niekulturalnym, ale nieetycznym nie jest, bo w stosunku do objektu łownego nie można mu dać tej kwalifikacji.

Weźmy inny przykład: kaleczenie zwierzyny przy strzelaniu na nieodpowiednie mety, nieodszukiwanie postrzałków, polowanie w warunkach takich, że ubitej zwierzyny podnieść nie można — są to postępki nieetyczne jak w stosunku do właściciela łowiska, tak i do zwierzyny, lub też są dowodem braku wszelkiej kultury. Wynika z tego, że kultura łowiecka odróżnia postępki w stosunku do zwierzyny, niewyrządzające jej bezpośredniej krzywdy, jak naprzykład rozpędzenie toków od takich, jak zadawanie męczarni, bezmyślne zabijanie i t. p. i te inaczej kwalifikuje. Innemi słowy kultura łowiecka przy obecnym swym poziomie uznaje powyższe postępki, jako nieuczciwe, choć prawem dozwolone i niekaralne. Z tego można ustalić jeszcze jedno określenie dla etyki — postępek nieetyczny jest ten, którego poziom kultury kwalifikuje, jako nieuczciwy, mimo że prawem jest on dozwolony i niekaralny.

W potocznej mowie, jak już nadmieniłem, przy powierzchownem traktowaniu rodzajów określeń napotykamy dość często niedość ścisłe rozgraniczenie pojęć: nieetyczny i niekulturalny. Mam wrażenie, być może, że się mylę, że pierwsze jest traktowane jako słabsze, mniej dyskwalifikujące i dlatego właśnie jest więcej rozpowszechnione. Naogół ludzie unikają określeń dosadnych, a zawsze wolą więcej ogólnikowe, kompromisowe. Osobiście jestem innego zdania. Uważam, że kwalifikowanie postępku jako „nieetyczny" jest dużo dosadniejsze od „niekulturalny".

Kulturalna jednostka, która nie posiada kultury w jakiejś jednej specjalnej dziedzinie, mimo to może być zaliczona do rzędu ludzi kulturalnych. Tej zasady do etyki dostosować nie można. Brak etyki w jakiejś jednej dziedzinie dyskwalifikuje jednostkę. Etyka, jak i uczciwość, musi się przejawiać we wszystkich dziedzinach życia bez wyjątku. Jeżeli daną jednostkę uznamy za wyzutą z etyki, to będzie ona jej pozbawiona nietylko w danej dziedzinie, dajmy na to w łowiectwie, ale i w każdej innej.



Po trudach nocy — na śniadanie. Fot. E. Pohoski.

W dziedzinie uczciwości fakt popełnienia przestępstwa nie przesądza winy danego osobnika, który mimo to może być uznany za niewinnego, czyli uczciwego. To samo, tylko znacznie częściej, można spotkać przy kwalifikowaniu etyki jednostki. Określenie stopnia uczciwości opiera się na prawie pisanem i posiada rygory, które w stosunku do etyki nie są stosowane. Nieświadomość prawa nie zwalnia od odpowiedzialności za jego przekroczenie. Stwierdzone fakty działania pod afektem, spontaniczne odruchy, lub gwałtowny temperament, wywierają wpływ na zmniejszenie odpowiedzialności, ale rzadko kiedy anulują winę. Tych wszystkich rygorów w stosunku do etyki nie mamy, a jest raczej stosowana inna maksyma: — nieświadomość grzechu nie czyni.

Jeżeli ktoś nieodpowiedniem zachowaniem się rozpłoszył toki głuszcowe, ale, wobec braku erudycji łowieckiej, nie zdawał sobie sprawy, że tem czyni krzywdę właścicielowi łowiska, to mimo że postępek jego jest nieetyczny, nie można takiego myśliwego nazwać osobnikiem nieetycznym. Jeżeli popełnił to kulturalny człowiek, daje tem dowód, że

żaden z niego myśliwy, jeżeli zaś wytrawny myśliwy, to jest on niekulturalną, lub nieetyczną jednostką. Jeżeli postępek nieetyczny popełniony jest w stanie afektu, spontanicznie, bez premedytacji, nie przestaje być nieetycznym, ale osobnik, który go popełnił, nie może być kwalifikowany jako taki.

Nieetyczną jednostką może być tylko ta, która popełniła postępek z całą świadomością i premedytacją, oraz posiada w danej chwili zeznanie niekaralnej krzywdy, którą czyni komuś, względnie czemuś.

Zdefinjować nieetyczny postępek i jednostkę jest trudno; należy poza poziomem kultury określić okoliczności, w jakich był on dokonany, a w wypadkach, gdy jest on uzasadniony brakiem kultury, zakwalifikować go jako nieetyczny może być niesłuszne i krzywdzące.

Przy postępkach, dokonanych na zimno, z premedytacją i całą świadomością, interpretacja nie napotyka na żadne trudności; o postępkach spontanicznych tego powiedzieć nie można.

Przestępstwa przeciwko etyce łowieckiej zdarzają się przeważnie w okolicznościach, związanych z wykonaniem procedury samego polowania. W takiej chwili każdy prawdziwy myśliwy jest pod działaniem pewnego afektu, wywołanego atawistyczną namiętnością, łowiecką. Stopnie i skutki takiego afektu mogą być tak różne, jak różny jest stopień opanowania, równowagi i temperamentu każdego poszczególnego myśliwego. Widzimy nieraz pseudonieetyczne postępki, których sprawca nietylko nie zdaje sobie sprawy z popełnienia ich w danej chwili, ale potem nawet nie pamięta samego faktu. Są to pewnego rodzaju defekty organiczne, na które żadne piętnowania nie pomogą. Uważam, że najdalej posunięta rezerwa w tej dziedzinie jest wskazana.

Nie jestem bynajmniej za tolerancją nieetycznych postępków łowieckich. Przeciwnie, musimy jak najdalej rozwijać akcję, propagującą etykę w łowiectwie, ale nie jedynie drogą wyroków i piętnowania, lecz propagowania, szerzenia i podnoszenia poziomu kultury łowieckiej. Nie zapominajmy o zasadzie równania w górę. Powracam znowu do mojej pierwotnej przenośni, w której nazwałem kulturę matką etyki. Kultura rodzi i kształtuje poczucie etyki, rozwija opanowanie chwilowych zbyt silnych wrażeń, oraz to coś, co dyktuje nam w danej chwili, jak należy lub nie należy postąpić. Im poziom kultury łowieckiej będzie wyższy, tem mniej powinno być wśród myśliwych wykroczeń przeciwko etyce łowieckiej.

*

Teorje głosić łatwo, trudniej wprowadzać je w życie. Mało pomogą powyższy, lub temu podobne artykuły, jeżeli są udostępnione tylko nielicznemu gronu czytelników „Łowca Polskiego"; ci zaś najmniej ich potrzebują.

Przyjrzyjmy się stosunkom łowieckim, panującym u naszego najbliższego zachodniego sąsiada: 240.000 kart łowieckich; tyleż zrzeszonych myśliwych; warunek otrzymania karty łowieckiej — abonament jednego z trzech pism fachowo-łowieckich. W takich warunkach propagandę można prowadzić. Wolę o naszych analogicznych stosunkach przemilczeć, cyfr nie cytować, by nie szerzyć zbędnego pesymizmu.

Musimy iść z duchem czasu. Krzewienie kultury zapomocą bata, czyli przepisów i rygorów, to nie jest nowy wynalazek.

Apostołowie i żywe słowo, to historja, to przeszłość. Teraźniejszość — to radjo i wszechpotężna prasa.

WACŁAW PODHORSKI

Wieczór kwietniowy.

Wieczór kwietniowy, cichy, ciepły,
żadna gałązka się nie rusza,
pęd życia stanął, jakby skrzepły,
a tylko czuwa leśna dusza...
Płynie w mgieł zwojach i oparach
przez las od końca aż do końca,
po mchach zrudziałych i moczarach,
idzie ku górze, — het w błękity,
wiedzie ją drogi mlecznej ścieżka
i jeszcze wyżej — gdzieś w zenity
zaświatów, w których Chrystus mieszka...
Idzie Mu złożyć dary swoje:
„modlitwę lasu, — srebrną rosę"
i w mgły wieczornej miękkie zwoje
otulić Jego stopy bose, —

i ledz tam, kładąc darów brzemię,
i wrócić potem znów na ziemię...

— — — — — — — — —

W niepokalaną taką ciszę,
nawet się trawka nie kołysze...

— — — — — — — — —

Lecz trwa to krótko — wraca życie
i tętno bije echem głośnem,
słychać szmer jakiś po błękicie,
z chrapaniem ostrem i donośnem...
I czas upłynął jedną chwilą,
gdy na odwiecznym szlaku starym
słonki, jak strzały, się wychylą
ponad drzewami i moczarem...

— — — — — — — — —

A później echo znowu niesie
bek krótki, rwany i radosny,
aż drgnęły wszystkie drzewa w lesie —
to kozła hasło na cześć wiosny.

W gęstwinie brzezin drozdy gwiżdżą
całe wieczory, całe ranki —
to dwaj rywale tak się miżdżą,
do upatrzonej swej bogdanki.

Wreszcie i wietrzyk wpadł zdyszany,
przynosząc zdala jakieś wieści
i szepce wciąż rozdygotany,
i gałązkami wciąż szeleści...

— — — — — — — — —

I tutaj stał się dziw nad dziwy —
los czasem serca ludzkie zmienia...
Czekał na słonki tu myśliwy —
nie podniósł strzelby do ramienia,
bo trafem w chwili tej szczęśliwym
zgasł dreszcz pierwotny i podnieta:
nad głosem żądnym krwi — Myśliwym,
zwycięstwo odniósł tu — Poeta...

Słuchał i patrzył w leśną głębię...
Aż noc pokryła wszystko cieniem
aż serce stało się gołębie...
Krwi żądza stała się — wspomnieniem...

KAŻ-KIWERSKA KOZŁOWSKA

MYŚLIWSKIE SERCE.

Wojciech Zbożeń miał bogatą przeszłość łowiecką. Ale i pół wieku czasu nosił na sobie. Często to ten, to ów z przyjaciół wśród serdecznej pogawędki wyliczał jego trofea. Liczono wszystkie pokolei, wzdychano zazdroszcząc, gdy przy coraz nowych kolejkach coraz nowe szły wspominki.

Czego tam nie było! Potężne basiory, olbrzymie odyńce, od czasu do czasu skośnooki ryś, a potem cały szereg pomniejszych przedstawicieli burego futra i czarnej szczeci, długi łańcuch rudych, płowych, albo i siwych prawie lisów, oślizgłe wydry, borsuki-nocne włóczęgi i wszelaki drobiazg podstępnych, krwiożerczych drapieżników; a dalej prawie przedpotopowe w swych konturach łosie, majestatyczne, sprężystej postaci jelenie, kapitalne rogacze — zręczne a przebiegłe, a z ptactwa: rzadkie dropie, dzikie gęsi, wszystkie gatunki przecudnie barwionych wiosną kaczorów, pstre jarząbki, czarnogranatowe cietrzewie, tajemnicze, srebrem na czarnych szyjach kropione, ptasie olbrzymy-głuszce — zresztą wszelkie inne gatunki zwierzyny czworonogiej i ptactwa miał Wojciech Zbożeń na rozkładzie, zapisał je w pamiętniku, notując okoliczności ważniejszych spotkań, wyjątkowe wypadki, dziwy przeżyć myśliwskich.

Brak mu było tylko niedźwiedzia i — pardwy. Niedźwiedziem, jak powiadano, był pono sam, bo mruk i człowiek wielkiej powagi, ruchów ociężałych, choć kształtnych i dlatego jakoby do króla gór podobny niezmiernie. A wiadomo: swój swego nie tyka. Co do pardwy, to poprostu nie miał Wojciech Zbożeń szczęścia — jak do kobiety.

Boć to, że znał ich przecie bez liku, zapisanych w dobrej i złej pamięci, a nawet takich, które przeszły przez jego życie nakształt smug srebrzystych, znaczonych przez gwiazdy spadające po firmamencie czarnego wśród nocy nieba — wszakże liczyć się nie mogło. Jak nie liczyły się te szaraki-kopyry, ubijane zamłodu tysiącami w śmierć niechybną niosących kotłach lub ławach; jak nie liczyły się najśliczniej upierzone jesienią kuropatwy, gonione setkami na wojciechowe strzelby; jak nie liczyły się nawet złotopióre bażanty, wytryskające bukietami z pod nóg, przypierających je do linji myśliwych naganiaczy...

W rodzie ludzkim dziwne panowały formy i różnemi kierowano się przebiegłościami, inne stosowano zwyczaje, niż w najbliższej jego sercu żywej przyrodzie, gdy chodziło o zdobycie samicy. A to wszystko Wojciech Zbożeń obrzydził sobie oddawna.

Obrzydził sobie tembardziej, że, choć sam potrafił od czasu do czasu zdobyć się na natarczywe „szturchnięcie ryjem", na butne, ambitne „pogonienie rogami", to jednak z naturą jego najbardziej godziło się ekstatyczne a zapamiętałe snucie pieśni miłosnej, jak to bywa przed świtem w mrocznem jeszcze uroczysku puszczy, gdy tokuje głuszec. I to było powodem, że nie doznał nigdy niczyjej prawdziwej miłości.

Gdy znajdował się w jasno oświetlonym salonie, zapominał najczęściej o sąsiadujących, półmrokiem zasnutych buduarach...

Gdy pędził prymitywne życie myśliwca w najbardziej odległych wschodniokresowych kniejach, gdzie tylko na lekarstwo widywał kobiety, nie była mu miłość w głowie, nie imała się serca. Kochał naprawdę tylko puszczę i dzikiego zwierza.

Z tem przeto — z myślą o swojej, najbardziej swojej kobiecie — Wojciech Zbożeń pożegnał się już dawno.

Tęsknił do „niej" podświadomie a bezskutecznie, jak — do pardwy...

Życie Wojciecha Zbożnia nie było lekkie. Kość z kości wieśniak i krew z krwi myśliwy utracił zamłodu bezpośredni kontakt z tem wszystkiem, co dawały ziemia, las i łowiectwo. Opuścił zagon dzieckiem. Wykształcenie zdobył. Urodę miał męską. Serce gorzało. Umysł tętnił. Ale nie było „środków", a lata szły. Więc Wojciech Zbożeń dziczał.

Do ludzi miał szczęście... Złudne to określenie i złudne te korzyści ponoć były mimo wszystko jego udziałem. Więc przekołatał jakoś pół wieku. Bez swego kawałka ziemi, bez swego prawdziwego umiłowania. I tak w złudach topił swe możności i swe pożądania. Biegł naprzełaj, potykał się, padał, ogarniał rękami cały świat szczęścia, który w jego własnym umyśle wykwitał, i znów go z rąk wypuszczał, lub wytrącało mu go życie.



Piękny był dziś lok... Fot. Z. Wysłouch.

A lata szły i szły...

Wojciech Zbożeń był z narzuconego mu przez życie fachu bankowcem, ale prowadził tylko cudze interesy, gdyż nie posiadał kapitału. Pozatem mówiono, że jest lekkomyślny. Nawet największych zarobków w latach tłustych nie potrafił skapitalizować — „zabezpieczyć się". Miał przytem zbyt „dobre" serce. Przy nim robiono fortuny.

A lata szły i szły...

Aż przyszedł wrzesień — symboliczny wrzesień życia człowieka.

Zostawało Wojciechowi Zbożniowi tylko wspomnienie własnej, często krwawej pracy o cudze, garść refleksyj w walce o szczęście osobiste i złota przeszłość myśliwska.

A czarną plamą w jego prostej a dzikiej, szurpatej, nastroszonej, a przecież jasnej — ba, myśliwskiej choć zamkniętej w sobie duszy — stało się tylko jedno, w dwu odmianach: brak kobiety i — pardwy. Brak kobiety — pardwy...

Tak sobie to zobrazował sam dla siebie. Nadto doszedł do przekonania, że gdyby znalazła się nawet ta jego kobieta, odwróciłaby się odeń natychmiast, bowiem nie zniosłaby porównania z... pardwą!

Szło ku zimie. Jak co roku, dziesiątki przyjaciół zwracało się do Wojciecha Zbożnia o jego udział w polowaniach, w rozlicznych okolicach i na różną skalę. Ale Wojciech Zbożeń nie mógł tego roku polować. Chwilami zdawało mu się, że jest chory, to

znów, że zbyt stary, to wreszcie, że już nie o polowanie mu w jego „wrześniu" chodzi. Więc odmawiał wszystkim, lub zaproszenia przyjmował warunkowo, aby nie być posądzonym o zwykłą niegrzeczność i obojętność.

A to wszystko dlatego, że właśnie teraz dopiero stał się naprawdę „niezależnym".

Niedawno po raz ostatni otworzył mu woźny drzwi banku, bowiem Wojciech Zbożeń ustępował stamtąd na zawsze, ustępował „na swoje". Ot — przypadek, jak zwykle nieoczekiwany. Stryj staruszek, o którym mało co w rodzinie wiedziano, który ze wschodniego przewrotu wyszedł prawie nago z olbrzymich majątków w Mińszczyźnie, chroniąc się na polską stronę, zapisał Wojciechowi Zbożniowi, z którym ponoć jednym tylko komunikował się listami od szeregu lat, mały folwark na Wileńszczyźnie, jedyną nieodciętą część spuścizny rodowej. Wszystkiego coś cztery tysiące hektarów — samych topieli lub przestrzeni, porosłych karłowatą sosną. Mchy pardwie, tokowiska głuszcowe, wilcze ostoje i rysia gościnne salony. Gdzieś obok, w prawdziwej, starej puszczy podobno i niedźwiedzie przychodziły zasypiać zimą po gawrach.



Z toków głuszcowych Budan. Fot. W. Korsak.

Wojciech Zbożeń ożył. Odmłodniał w oczach wszystkich i sam poczuł się młodym. Nic sobie z tego nie robił, że stary stryj ledwo domęczył żywota na tej pustce, resztę wywiezionych zza kordonu zasobów dokładając do utrzymania ostatniego swego zagona. Ornego w istocie było wszystkiego coś stopięćdziesiąt morgów sapów i wileńskiej gliny.

A przecież Wojciechowi Zbożniowi urosły skrzydła. Dusza w nim zagrała pieśnią przodków, pieśnią myśliwych — zakręciło się w głowie, steranej wysiłkiem na cudzem, w obcem środowisku. Więc i na żadne polowania nie chciał przyjmować zaproszeń. Musiał jechać tam — do siebie. Pragnął ogarnąć to „swoje" sercem — już kochał te Sierpiaciszki stryjowe.

W szary październikowy ranek Wojciech Zbożeń wyszedł ze stołecznej knajpy, gdzie utknął po zakończonem po północy pożegnaniu z paczką najbliższych przyjaciół. Siedział potem długie godziny na samotnych rozmyślaniach.

Znał strony, w których leżały „jego" Sierpiaciszki. Oczyma wyobraźni widział te pardwie mchy, choć ich naprawdę nigdy z psem nie przechodził.

Liczył na dalszy los szczęścia. Nie może być inaczej, tylko już teraz pardwę ujrzy zbliska, strzeli do tego utęsknionego ptaka i zapisze go w swym pamiętniku, jako najlepszą koronę zdobyczy myśliwskich, przez całe życie upragnioną, a dotąd nieziszczalną. I lubość wielka rozlała się w piersiach Wojciecha Zbożnia.

Nagle poczuł dziwne, niewytłomaczone, przeszywające ukłucie w sercu.

— Skleroza — pomyślał. — Już czas!...

Ale znów inne zaczęły snuć się przed nim obrazy, inne myśli przyszły do świadomości.

Z białych, płoworudych i czarnych piór pardwy poczęły coraz wyraźniej układać się kształty kobiety... Kobiety, jaką, zdawało mu się, wymarzył zamłodu, a jakiej nigdy nie spotkał.

Czyżby — nigdy?...

I oto raptem na Wojciecha Zbożnia padło jakby olśnienie. Otworzył szeroko nawpół przymknięte dotąd oczy, zamrugał młodemi jeszcze powiekami, obszytemi czarną, jak jego włosy, obwódką gęstych rzęs, mocno zaciągnął się trzymanym w ręku papierosem, sięgnął po pełny, zdawna przed nim stojący kieliszek, wypił — wstał i, jakby ciągniony tajemniczą siłą, podszedł do telefonu.

Była godzina dziewiąta rano. Połączył się ze swem dawnem biurem. Nakręcił numer swej byłej sekretarki.

Tu Zbożeń. Dzieńdobry pani... Przepraszam... Ponieważ wyjeżdżam — wyjeżdżam daleko, na długo, chciałem się z panią pożegnać. Jeśli pani może poświęcić mi kilka chwil, może się spotkamy... Więc proponuję czarną kawę w cukierni, a potem skromną kolację gdziekolwiek. Dziękuję...

Automatycznie wrócił na swoje miejsce. Przestał na chwilę myśleć — wsłuchiwał się w jakąś zbyt głośną kłótnię opuszczającej lokal ostatniej pary, mimowoli dziwiąc się zgiełkowi pokracznego życia. A potem wezwał kelnera, zapłacił rachunek, ubrał się i wśród siepiącego deszczu, piechotą przeszedł kilka ulic do fryzjera. Ogolił się, zaszedł do domu umyć się, potem wypił herbatę, zmienił ubranie i znów wyszedł na ulicę.

Było po dwunastej. Wojciech Zbożeń ciągle jeszcze nic nie wiedział co będzie dalej. Pamiętał tylko, że umówił się po raz pierwszy na spotkanie, a więc i na rozmowę z tą, którą już tyle miesięcy kochał. Teraz dopiero wiedział, jak szalenie ją kochał.

Wszedł do drugorzędnego baru, żeby w pustej salce przetrwać jak najdłużej na rozmyślaniach i zrobić „rachunek sumienia". Kazał sobie podać konjaku i czarnej kawy.

O Hali źle mówiono... Chociaż zdawało mu się do dziś, że nic mu na tem nie zależy. Zawsze burzyło to w nim spokój, nawet stwarzało przepaść pomiędzy nim i najbliższymi mu dawniej kolegami. Dziś zaczął się zastanawiać znowu, dlaczego ludzie w jej kierunku wyładowywali nieraz tak niesprawiedliwie swą złośliwość.

Była młoda, naprawdę bardzo ładna i nieprzeciętnie inteligentna. Błyszczała wprost trzema wielkiemi zaletami, które tak rzadko występują jednocześnie. Pozornie „żywiołowa", a w istocie tylko niezwykle śmiała, zdecydowana i odważna w sądach o ludziach, i zapatrywaniach na życie. Usposobienie miała pogodne, często bardzo wesołe, a jednak czasem siadał w niej taki sam ponury niedźwiedź, jakiego nosił w sobie Wojciech Zbożeń od długich lat. Dla otoczenia bywała tak beznadziejnie obojętna i miała wtedy wyraz twarzy tak matowy, że trudno było o lepsze uosobienie największej pogardy. Z natury koleżeńska i towarzyska, ze sposobu bycia swobodna, potrafiła w odpowiedniej sytuacji zawsze znaleźć się tak, jak należało — z rezerwą i zaakcentowaniem tego, że „już dość". Czasami znów dawała do zrozumienia, iż sama wie, że jest kobietą — i to ładną, pożądaną, rzadką.

Koroną wszystkiego był jej przeolbrzymi urok kobiecy, który może niczem nie pasował do zewnętrz-

nych, nieco nabytych, pozornie tylko „głównych" cech charakterystycznych, wśród których dominowała nonszalancja, nicnierobienie sobie z niczego, spokój doświadczenia i maska prawie bezczelnej pewności siebie. Ale wdzięk ten żył w niej — przez nią i bez niej — poza jej własną świadomością i uzewnętrzniał się bardzo często w bylejakim uśmiechu radości, wesołości lub żartu, szedł między ludzi dobrych i złych, jak sen o szczęściu...

Wdzięk ten tkwił również w przecudnych oczach, tajemniczych, ciągnących — na śmierć!... Lecz tu błyskał rzadko, raczej tylko wtedy, gdy prowokowała go zwykła wesołość, na usta już wysłana. Oczy te w swej istocie żarne, a przecież zazwyczaj milczące, badawcze, skupione, uważne, czasem zimne, jak stal klingi sztyletu, zdolne do dna serca nienawidzieć wroga — oczy jej były największą tajemnicą.

Dziewczyna ta musiała przejść jakąś wielką tragedję serca — tak wielką, że zrozumieć mogłaby ją i uleczyć tylko czyjaś wielka, większa od boleści jej wspomnień, miłość.

Z tem wszystkiem jednak to, co raczyła dawać z siebie innym, wytwarzało dokoła niej nastrój nerwowy i fascynujący płeć brzydką, nastrój nieraz nadmiernej natarczywości i zawiedzionych starań zarazem.

I dlatego... mówiono... Płacono poprostu złem, szczekliwem słowem za niefortunne zabiegi — to wszystko. Nie mówili wprawdzie niektórzy nic. I tych podejrzewano o specjalne względy Hali. Ale świat zawsze był taki. Wystarczało choćby to, że mieszkała w stolicy sama, miała ogromną ilość znajomych, z którymi bywała od czasu do czasu w kawiarniach, restauracjach, że piła wódkę i wino, paliła papierosy.

A Wojciech Zbożeń widział w niej zawsze rasowe, subtelne, najlepsze dziecko, któreby rad na rękach kołysać, gdyby nie był sam tak dziki i... tak stary.

Oddawna odpędzał od siebie myśli o kobiecie. Mówił sobie, wolno mu jest dziś marzyć jedynie o... pardwie.

A cóż będzie teraz?... Poco telefonował? Oficjalne pożegnanie w biurze już dawno się odbyło. Za dwa dni miał wyjeżdżać.

Ta ostatnia myśl oprzytomniła go. Spojrzał na zegarek — była szósta po południu. Jak to się stało?! Sześć godzin przemarzył o Hali?...

W ostatnim pokoiku małego baru nie było znów nikogo, prócz niego. Przed nim stała nietknięta „porcja" i leżał rachunek za ćwiartkę konjaku, papierosy i kilka czarnych kaw.

Wojciech Zbożeń teraz dopiero zdał sobie jasno sprawę ze wszystkiego. Chce żyć tylko dla Hali, albo, wyrażając się inaczej, pragnie wyrwać losowi okruch szczęścia osobistego, takiego, jak go zawsze nadaremnie pojmował i pragnął. I nie wie jakim to uczynić sposobem.

Wyszedł na ulicę i wolniutko skierował się do cukierni. Wszedł tam znacznie wcześniej przed oznaczoną godziną i już Halę zastał. Przepraszał, mocno zawstydzony. Przyszła wcześniej — powiedziała — bo nie miała co robić. Wypili kawę, przy której w zgiełku ludzkim pełnej sali nie kleiła się rozmowa. Wojciech Zbożeń począł sądzić, że jest jakby trochę pijany...

Poszli do restauracji. Siedli w loży, w małym pokoiku, na końcu lokalu. Nikt im tu nie przeszkadzał.

Wojciech Zbożeń czuł w swej niedźwiedziej piersi, że to ostatnia ważna chwila w jego życiu. Czuł to, uświadamiał sobie dokładnie i nie mógł nic mówić. Zaczynał, kołował, bredził głupstwa. Bo i bawidamkiem nigdy nie był. A zresztą — w tym wypadku... Hala była prawie wesoła, potem spoważniała, wyczuła coś dziwnego w „Wojtku", jak go nazywał pocichu cały personel w biurze.

Podano wódkę, przekąski, dania... Wojciech Zbożeń czuł coraz bardziej zaciskające się gardło i coraz silniej tętniące lękiem serce, zmagał się z sobą, szukał zasobów odwagi w coraz nalewanych kieliszkach i — milczał.

Aż wreszcie zerwało się, pękło w nim coś, jak fatum... Patrzał na Halę, jak przez mgłę, zdał sobie sprawę dokładnie, że to mgła łez jego własnych, a nie alkoholowych nadużyć. Półświadomie oparł czoło o jej odsunięte od stołu kolana. Począł mówić...

Mówił, jak dziecko — przez łzy...

Pamięta, że go uspokajała dobremi słowy, pamięta, że spojrzał potem w jej oczy i spotkał się raz jedyny ze wzrokiem kobiety, która z r o z u m i a ł a do głębi o czem mówi, która w i e, że mówi o czemś bardzo ważnem, że mówi prawdę i że jest mu naprawdę źle. I więcej już nie pamięta. Wysiłek, jaki poniósł — skruszenie wrodzonej skrytości i nieśmiałości zarazem — odebrał mu siły i zrozumienie rzeczywistości.

Wojciech Zbożeń przez dwa dni nie wychodził z domu, choć rzeczy miał spakowane i gotów był do drogi. Czekano na niego w Sierpiaciszkach. Rządca i urzędy w miasteczku. A że nie mógł zdobyć się więcej na żadne słowo do Hali, więc — odjechał.

Przepadło wszystko!



Droga na „hrudku". Fot. A. Piasecki

Jedzie na swe ukochane Kresy, a boi się, że jakieś drzwi zatrzasną się za nim, choć przecież nic złego nie powiedziała mu Hala. Nic takiego, coby... Ale także wie c o p o w i e d z i a ł a. Wszystko roztopiło się w olbrzymiem napięciu, wskutek szalonego wstrząsu niedźwiedzich nerwów, który poraził jego mózg.

Minęły tygodnie. Śnieg trzecią już ponową wzywał do kniei, zanim zbudził w Wojciechu Zbożniu nanowo serce myśliwego. Lecz zbudził je pozornie i tylko dzięki namowom p. Smiotanki, rządcy, i starego strzelca Harasyma, którzy coraz piękniejsze malowali przed nim opowieści o sierpiackiej puszczy na błotach i o jej mieszkańcach.

Milcząc, kiwał głową, uśmiechał się, coś na krótkie chwile zapalało się prawdziwym, radosnym ogniem w dziwnych oczach, które gorzały wprawdzie ciągle, odkąd osiadł wśród tych lasów, ale paliły się matowym blaskiem, jak przeżarte fizycznem cierpieniem niemogącego sypiać człowieka chorego.

Bo też Wojciech Zbożeń przyjechał tu zupełnie rozbity duchowo i dzień po dniu czuł się coraz gorzej. Właściwie nie sypiał już długi szereg nocy i dni, a gdy próbował zasnąć, przychodziły nań półsny,

półwizje i napadało go nieznośne dławienie w krtani.

Myśli i jaźń cała były nieustannie przy Hali. Wiedział, że z rosnącą tęsknotą rośnie w nim rozpacz niemocy i zupełny brak odwagi do walki o największą stawkę życia.

Przy tem wszystkiem czuł, że gorączkuje, jak prawdziwie chory fizycznie.

Aż jednego dnia Harasym otropił wilka. Więc pojechał do puszczy. Zagadywał go stary, ale i tym razem nie powodziło mu się, jak i p. Smiotance, Wojciech Zbożeń milczy i milczy, ledwie coś czasem odbąknie.

Przyjechali na miejsce. Olchowe gąszczyki na mokradłach, wśród starszych, na małych pagórkach wyrosłych sosen. Fladry zaciągnięte. Dwóch gajowych zachodzi miot, a Wojciech Zbożeń staje na tropie wejściowym zwierza. Harasym zdejmuje pięćdziesiąt metrów sznurów z obu stron stanowiska pana.



Kuropatwa—albinos, zastrzelona w maj Januszkowo pod Żarnem. Fot. J. Hauser.

Miot trwa jakby wieki. Wilka niema. Wojciech Zbożeń raz po razu przymyka powieki i znowu je otwiera. Aż nagle, wpatrzony długo w białą szatę puszczy, widzi jak z gąszczyku na lewo w jego stronę posuwa się Hala. Ma na głowie ciemno-szafirowy kapturek, oszyty wianuszkiem rysiego futra, szafirową, taksamo oszywaną bekieszkę i białe z żółtemi rzemykami wojłokowe śniegowce. Z pod szafirowego kapturka wyglądają kosmyczki jej ciemnych blond, o zielonkawo-płowym odcieniu włosów, a nad biało-śniadawą buzią iskrzą się pozornie trochę skośnie oprawione, ciemne oczy, ubrane w podłużne łuki wydatnych czarnych brwi i ozdobione cudnie zaginającemi się ku górze i ku dołowi, długiemi rzęsami...

I widzi jeszcze Wojciech Zbożeń, jak Hala uśmiecha się, ukazując dwa rzędy bieluchnych zębów, okolonych koralem prześlicznie wykrojonego rysunku ust...

A potem sam swoje oczy przymyka, czuje, że ma pełno czegoś pod powiekami, że robi mu się zimno pod oposowym kożuszkiem, że opuszczają go siły, rozwierają się dłonie i broń upada w śnieg...

— A szto panoczku, wouka prapuścili... — wychodząc z gąszczu w trop zjawy Hali, odzywa się Harasym — Na prawo, po balotu paszou. A jakij wialikij, Bożeż ty moj!...

Wojciech Zbożeń wstydzi się bardzo, ale tylko przez chwilę. Nawet idzie w milczeniu oglądać olbrzymi trop basiora. Ale potem uczuwa konieczną potrzebę pozostania sam, więc odprawia Smiotankę, Harasyma i gajowych na saniach do domu, oznajmiając, że przejdzie piechotą krótszą drogą przez „Czortowe bałoto". Może spotka po drodze pardwę.

— Oj, żebyście panoczku nie zabłudzili!... A do noczy niedaloko — ostrzega Harasym.

— Nie bój się, już poznałem ten las.

I odjechali, a Wojciech Zbożeń pozostał sam wśród bieli zimowej ponowy, wśród oszronionych drzew i podrostów kresowej kniei, znaczonych ostatniemi promieniami zachodzącego w tym momencie krwawo, „na wiatr", słońca — z obrazem utęsknionej kobiety w oczach...

Postał chwilę, wzniósł głowę ku górze, jakby oczami szukał ponad drzewami, na szafirowo-szarem sklepieniu nieba, rady i zmiłowania na swą wewnętrzną boleść, na bezgraniczne utęsknienie serca. I poszedł ze strzelbą na ramieniu ku błotu, ku domowi.

Szedł przez dłuższą chwilę jakby po omacku, oczyma duszy wpatrzony w szaleńczo ukochaną zjawę i cierpiał.

— Cóż z tego?... Otom znalazł dawno zaprzeczone sobie samemu przeogromne szczęście, któregom szukać przestał. Otom chory dziś i bez woli. O, gdyby drzewa te były ludźmi, gdyby w kiściach ich igieł mieściły się nerwy człowiecze, mogące zrozumieć moją sprawę życia wielką, ostatnią, najlepszą, rzekłbym im głośno wśród białości śniegu, który trwa, wśród czerwieni słońca, które zachodzi i wśród mroku, który spływa:

— Kocham — naprawdę!...

— Ale cóż z tego?... Im bardziej wiem o tem, im wyraźniej zdaję sobie sprawę, czem jest dla mnie ta dziewczyna, tem większy lęk ogarnia moje serce, tem straszniejszy widzę znak zapytania przed sobą...

Wojciech Zbożeń szedł po mszarze coraz trudniej, coraz ciężej, coraz potniej — a zimno mu było coraz więcej. Szedł i myślał. Nie — on modlił się w skupieniu serca do przeczuwanego serca tej kobiety... Do serca pełnego nieprawdopodobnej tkliwości, które podświadomie poznał do głębi.

Zapadał mrok. Słońce już tylko fioletowe smugi pozostawiło po sobie na ciemnym od dołu widnokręgu.

Wojciech Zbożeń nagle ugrzązł głęboko. Ale pragnienie posiadania Hali doszło w nim takich rozmiarów w tej chwili, że nie czuł niczego, co zewnętrzne. Nie wiedział nawet, że zatrzymała go jakaś przeszkoda.

Oparł zgiętą i wysoko wzniesioną łokciem do góry rękę o drobną sosenkę na mszarze, w trójkąt ten włożył gorejącą pragnieniem szczęścia głowę i trwał tak długo.

— Nonsens — przemknęło przez mózg błyskawicą.

Zamknął oczy i rozważał dalej, starając się zapamiętać wszystkie argumenty przeciw bezsensowi swoich pragnień.

— A cóż jej dam — co jej zapewnię?... Te cztery tysiące hektarów błota nie wyżywiały stryja — i mnie nie wyżywią. Może jakoś tam na rodzinnym zagonie dokołaczę tego żywota, ustępując piędź po piędzi...

— Jakże tu kwiat paproci sprowadzać — sadzić na błoto — między żórawiny, pijanice, smyczkę i bahun?...

— Chyba lepiej zamrzeć. Żyć już bez niej za ciężko.

Nagle przed Wojciechem Zbożniem zaśmiało się coś szatańsko. Jakby o dziesięć, piętnaście kroków.

Wytężył oczy — był pewien, że po tym strasznym, szalonym śmiechu usłyszał łopot bijących o boki ptaka skrzydeł.

— Pardwa!... — Wojciech Zbożeń poznał jej głos,

słyszany już tylekroć na wiosnę. Ponoć ku zimie kogut pardwi rzadko taki głos wydaje. A przecież znów głos ten na własne uszy słyszy.

Serce myśliwego zabiło jeszcze mocniej, choć było już tak bardzo wyczerpane. Wojciech Zbożeń wytężał oczy, chciał na białem tle śnieżnego pokrowca ziemi wypatrzeć tuż obecnego sporego ptaka — nadaremnie! Ptak był również jak śnieg biały. A mrok zapadł już prawie zupełny i księżyc, ledwo wyszły zza odległego boru, zamało rozświecał obraz.

Ale Wojciech Zbożeń nie wierzył w swą niemoc w tej chwili. Liczył na najlepszy zbieg okoliczności — jak zawsze myśliwy. Tak pragnął przecież od tylu już lat zobaczyć pardwę zbliska. A wtedy i ubić, i posiąść nie trudnoby było...

Naraz poczuł, że zapada się w błoto już po pas... Zdjął odruchowo strzelbę z ramion, jakby ją chcąc teraz ratować, ale nie myślał w tej chwili o śmierci. Położył ulubioną śrutówkę obok na śniegu, na mszarze. Ale ten ruch znów pogrążył go dalej. Już zapadł prawie po piersi.

Uwagę jego odwraca tuż za tą chwilą podświadomego lęku i jakiejś dziwnej rozkoszy niemocy kaskada djabelskiego śmiechu...

I najwyraźniej słyszy teraz ostatnie zgłoski skrzecząco skandowane, zpółcicha, jakby o pięć tylko kroków:

— Pa — we — łek!... Pa — we — łek!...

Wojciech Zbożeń zapadł się w tej chwili już prawie po pachy i poczuł zimny pot strachu na czole.

— Matko Boska Ostrobramska! Wybaw syna Twego, który Cię miłował od lat dziecinnych i zawsze ku Tobie głos skargi, głos lęku, głos dziękczynienia posyłał w przestworza!

Tu Wojciech Zbożeń modlitwę swą przerwał i począł szybko mrugać zdziwionemi oczami.

Po mszarze, nie dalej jak o dwadzieścia kroków, idzie ku niemu Hala. Ale zajmuje go teraz zagadnienie, dlaczego inne ma na sobie szatki niż te, które widział godzinę temu w wilczym miocie.

Hala jest w czarnej, leciutkiej sukience z gazy — księżyc wyraźnie już ją oświeca. Włosy jej krótkie, zaledwie do ramion, rozwiane są w puklach i rzucają w księżycowym świetle wyraźne blaski zielonkawe... Hala idzie boso... Widzi jej niezwykle, kształtne, rasowe nogi... Coraz jest bliżej... I teraz uśmiecha się...

— Och, Matko! Jeszcze, jeszcze choć pięć minut życia! Niech przyjdzie, obejmie, niech zdąży chociaż podać rękę, na czoło ją położyć...

Jakieś światełka migocą koło Hali, jakby świętojańskie robaczki błyskały po śniegu...

Wojciech Zbożeń już rozumie:

— Śmierć!...

— Matko Boska Ostrobramska, zmiłuj się nademną!... Nie mogę odejść od niej...

Po śniegu idzie biała pardwa. Wojciech Zbożeń widzi ją dokładnie. Czarny dziób i sterówki czarne. Tylko rękę wyciągnąć...

— A gdzie strzelba? — błyska myśl.

— A gdzie Hala?! Gdzie Hala?! — wpada na nią gwałtowna myśl druga.

— Pod ręce pana! pod ręce! Kładnij deski z przodu i z tyłu! Mocno stawaj! Razem! Raaazem!

— Nu, Harasym, cianiż jaho da hary! Osłabien ty, czy szto? No—o—o! Ciani, ciani! Ooooppp!!!

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus. Wydostali!



„Poszancowało" Fot. J. Krauze.

Posadzono go na jednej z desek, o drugą dalszą oparto stopy. Wojciech Zbożeń dyszał ciężko przez chwilę, potem głowę oparł na rękach i położył na podgiętych kolanach. Teraz uspokoił się zupełnie.

A pan Smiotanko ukląkł na błocie, w śniegu. Za nim stał stary Harasym z baranią czapką w ręku i żegnał się znakiem krzyża.

— Ot, perły! — zamamrotał pocichu i otarł pot z czoła.

— A zaraz panu rzonca skazau, szto pan zabłudziu i paszou u bałoto. Jakby nie sledy po sniegu, tak i nie naszlib żywowo...

Ale Wojciech Zbożeń już tej radości nie słyszał. Serce mu bić przestało.

Władysław Zabiełło.

NA ROZLEWISKACH.

Tafla kałuży, z której bezradnie sterczały czuby łoziny i gałązki różnych zatopionych rozlewiskiem krzewów, rozprysnęła się tysiącem perlistych kropelek i lśniących w poświacie brzasku pyłków.

Na wodzie z rozmachem osiadł przystrojony w godowe barwy kaczor. Zielenią i granatem połyskiwała czujnie na wszystkie strony obracająca się głowa. Od kasztanowatej piersi i jasno-szarego z brunatnem opierzenia grzbietu odbijały nęcące jaskrawością przecudne granatowe, z metalicznym odcieniem, czarno i biało obramowane lusterka skrzydeł. Jedwabistą czernią mieniły się zawadjacko podkręcone pióra nad krótkiemi sterówkami. Kaczor posiadał więc wszelkie zalety i cechy, aby uważać się za stuprocentowego uwodziciela rodu krzyżówek.

Białe, puszyste baranki, przebiegające zbitemi stadami po niebie, odbijały się drgającemi plamami w szerokiem lustrze rozlewiska, przechodzącem niepostrzeżenie w płytkie zatoki, bajorka i kałuże. Złotym pudrem przyprószyły się aksamitne kotki wierzbowe i nabrzmiały, wypełniły się sokiem żywotnym pąki na sennych nadrzecznych topolach. Gdzieś wysoko, wysoko, różowiąc się w pierwszych ukośnych promieniach, sunęły dzikie gęsi, dźwięcznem gęganiem wyrażając swoją nieprzepartą tęsknotę za ziemią ojczystą. Nad szuwarami, smutną zeszłoroczną szarzyzną odcinającemi się na tle świetlanych wód, przeleciała długonoga szara czapla... Na niezatopionym nurtami rozlewu wysokim brzegu popiskując biegały gromadki drobnych kulików-siewek...



Kłusownicy wodni. Fot. St. Bebenkowski

Dumny ze swego weselnego stroju kaczor, zdawało się, był niewrażliwy na otaczające go piękno i urok bezkresnego rozlewiska. Kręcił się niespokojnie, pływał wkółko, kwakał donośnie a namiętnie i nawet zaniechał ustawicznych poszukiwań żeru w lepkim mule dna. Nie cieszyła go wiosna, nie cieszyła srebrem rozdzwoniona gędźba tysięcy strumyków, spływających zewsząd i śpiewających zwycięską pieśń roztopów, co oznajmia przyjście cudotwórczyni — wiosny. Duszę barwnego kaczora gnębiła niewysłowiona, niewykwakana tęsknota. Gnębiła go wielka wiosenna tęsknota za miłością, za pieszczotami potulnych, skromnych kaczuszek.

Nasz kaczor, nazwijmy go skrótem gatunkowego imienia „platyrhyncha", pomijając rodowe „Anas", a więc „Platem", nie pierwsze święto wiosny obchodził na tych rozlewiskach. Plat był uwodzicielem doświadczonym, lecz wiek jego jeszcze nie chylił się ku starości. Wiele zażartych pojedynków z rywalami przeżył Plat i wiele na polu walki odniósł sukcesów...

Długo — chyba aż do zmierzchu — zwiedzał rozległe rozlewisko, rękawy rzeczne, zatoki i nowopowstałe bajorka i stawy. Krzyżówek spotykał mało, a jeśli się trafiały — były to przeważnie kaczory, lub świeżo skojarzone pary małżeńskie, których piękna połowa była nie do zdobycia, gdyż młodzi mężowie zażarcie, do upadłego bronili swych praw własności. Plat kwakał z rezygnacją, rzucał beznadziejne spojrzenia na piękną mężateczkę i albo płynął z gorączkowym pośpiechem, gnany nadzieją, do szuwarów, albo podrywał się z szumem i, świszcząc twardemi lotkami, przenosił się na inne miejsca. Parę razy napotkał zwrotne cyranki i cyraneczki, odbywające wesołe podróże wzdłuż rzeki.

Jaskrawo ubarwione, pstre, popielate, z białym spodem ciała i czerwono bronzowemi główkami, kaczorki cyraneczek i skromniej nieco przyodziane cyranki, oddawały się również ustawicznym poszukiwaniom oblubienic, porwane tą samą miłosną nadzieją, która oszołomiła Plata.

Wreszcie po długich bezowocnych szperaniach w szuwarach, trzcinach i zaroślach łozowych, Plat usłyszał słodkie, czułe kwakanie kaczuszki, wskrzeszające w pamięci tyle wspomnień z wiosen minionych... Jak oszalały, rzucił się kaczor na ten tęskny zew. Prześcignął i wyminął jakiegoś współzawodnika, który również pewnie dzień cały strawił na daremnych poszukiwaniach. Plat groźnie kwaknął parę ostrych słów do rywala i po chwili znalazł się przy skromnej, młodziutkiej kaczuszce, witającej swoją pierwszą miłość. Stary uwodziciel, zapominając o wszelkich zasadach, obowiązujących dobrze wychowanego światowca, tak gorąco począł przejawiać swoje uczucia, że kaczuchna omal życia nie postradała, nie mówiąc już o wyszarpniętych piórkach...

Przez kilka dni młoda para małżeńska w samotności rozkoszowała się sielankowem szczęściem. Plat nie dopuszczał do swej żoneczki żadnego kaczora, nie pozwalał nawet okiem na nią rzucić — niejeden też wolny od trosk rodzinnych młodzieniec dostał parę drobnych szturchańców skrzydłami i mocnym dziobem. Potem jednak w sercu kaczora zbudziło się jakieś dziwne uczucie niedosytu, pragnienie nowych wrażeń, nowych podbojów i zwycięstw nad płcią piękną, aczkolwiek w odniesieniu do kaczek można raczej powiedzieć, że męska płeć jest właśnie piękną. Plat przyglądał się swemu odbiciu w świetlanej tafli, podkręcał dziobem piórka nad ogonem i układał swe skrzydła tak, aby lusterka lśniły jak najwięcej. Kaczuszka, jego wierna małżonka, coraz chętniej przebywała teraz w samotności, a czasem wyraźnie unikała popędliwego małżonka — szukała widocznie miejsca na przyszłe gniazdo, które trzeba tak urządzić i ukryć, aby ojciec, pozbawiony z natury uczuć rodzicielskich, nie znalazł i nie potłukł jaj.

Kaczor, korzystając ze swobody i gospodarczo-macierzyńskiego nastroju żony, urządzał coraz dalsze i dłuższe wycieczki, które niekiedy wieńczyło

zupełne powodzenie. Pewnego razu uwiódł naiwną młodą kaczuszkę, która jakimś cudem uchowała się dotychczas w zupełnej nieświadomości. Podczas drugiej wycieczki pocieszył czyjąś małżonkę, której pan i władca wyruszył również w poszukiwaniu nowych wrażeń. Na usprawiedliwienie Plata można jedynie to powiedzieć, że znajdował się stale w jakiemś rozmarzeniu, a może gonił za niedoścignionym ideałem kaczej urody.

Świt zatlił się wąziutką wstążką nad krańcem rozlewiska i gęste mgły, kotłując się, popłynęły i odsłoniły zadumaną, w ciszę nocną pogrążoną taflę. W szuwarach rozlegało się przyciszone kwakanie, szelest, plusk i intymny pogwar kaczych rodzin. Plat wyruszył na poranny spacer i spotkał kilku sąsiadów, którzy taksamo postanowili odbyć wycieczkę pod pretekstem żerowania w przybrzeżnych zaroślach. Nagle zdaleka doleciał głos samotnej kaczki, drgający taką tęsknotą, taką bezkresną namiętnością, że wszystkie kaczory porwały się z wody. Furkocząc i świszcząc skrzydłami, kwacząc zapamiętale, ruszyły w tym kierunku, gdzie rozlegał się obiecujący zew. Aby lepiej zobaczyć nieznaną bohdankę, kaczory okrążyły gęste trzciny pomieszane z zeszłorocznym tatarakiem, okrywające małą zatokę, w której kryła się kaczka. Kilka kaczorów już ją zoczyło, niespokojnie pływającą wkółko po niewielkiem lustrze czystej wody. Kaczka również dojrzała przybyłych amantów i jeszcze głośniej, z jeszcze większą kokieterją zaczęła ich wabić i kusić. Kaczory zniżyły lot.

Wtem zagrzmiał strzał... drugi... trzeci, czwarty — i trzy bezwładne ciała runęły z pluskiem... Fontanna kropel wzbiła się wysoko, lśniąc w rumianej poświacie brzasku. Plat cudem jakimś poprostu uniknął niechybnej zguby: zanadto zbliżył się do krykuchy i myśliwi, troszcząc się o nią, dali mu spokój. Po salwie strzałów i śmierci trzech kompanów Plat zapomniał odrazu o istnieniu zdrajczyni — krykuchy i o wszystkich wogóle kaczkach na świecie... Uciekł ile sił było w skrzydłach i opadł, jękliwie kwacząc z przerażenia, w rodzimych szuwarach, porastających małą zatoczkę, gdzie po raz pierwszy spotkał szarą kaczuszkę, która została jego tegoroczną żoną. Pouczony gorzkiem doświadczeniem, Plat tej wiosny zaprzestał zalotów, z pewnością poto, aby w przyszłym roku z nową pasją zabrać się do uwodzicielstwa.

Później, za rok, gdy oddali się przykre wspomnienie, gdy zblednie cień ostatniej przygody, Plat znowu usłucha zdradzieckiego głosu kusicielki krykuchy i poleci na spotkanie bezlitosnej śmierci...

INŻ. W. LINDEMAN

KOMUNIKAT W SPRAWIE STANDARYZACJI OPAKOWANIA TROFEÓW, PRZEZNACZONYCH NA MIĘDZYNARODOWĄ WYSTAWĘ ŁOWIECKĄ W BERLINIE.

W związku z mającą odbyć się w Berlinie Międzynarodową Wystawą Łowiecką wyłoniła się konieczność przeprowadzenia standaryzacji opakowań trofeów, wysyłanych na tę Wystawę.

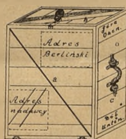
Zaznaczyć trzeba, iż chodzi w tym wypadku zarówno o nadanie skrzyniom dogodnego dla przewozu trofeów kształtu, jak i o ich wygląd zewnętrzny, który musi odpowiadać pewnym wymaganiom estetycznym.

Standaryzacja ta zawiera się w następujących przepisach:

1) Skrzynie na poroża jeleni, łosi, sarn, kozic i danieli oraz na inne eksponaty — winny być sporządzane z desek heblowanych, o ile możności świerkowych, jako lżejszych (+ 2 mm grubości), przyczem ramy poszczególnych ścianek powinny stanowić odpowiedniej grubości listwy.

2) Jedna z szerszych bocznych ścianek skrzyni, stanowiąca wieko, winna być umocowana na zawiasach (u dołu) i zaopatrzona w w klamrę do zamykania skrzyni na kłódkę (ryc. 4 b). Górna ścianka musi zatem posiadać przy przedniej krawędzi kółko, wchodzące w klamrę (ryc. 2 b). Zamykanie skrzyni na kłódkę ma na celu ułatwienie kontroli jej zawartości przy przewozie przez granicę. W tym celu opiekujący się trofeami członek Komitetu Wystawy wręczy odnośnym władzom klucze, zaopatrzone uprzednio w tabliczki z numerami skrzyń oraz z nazwiskami i adresami właścicieli trofeów.

3) Na górnej ściance skrzyni (ryc. 2 b), na ukos, farbą olejną wymalować należy dwa 7 cm. szerokości paski barw narodowych Polski (przy przedniej krawędzi biały, potem czerwony — zakreskowany na rycinie).



Ryc. 1





Ryc. 2.

Numeracja skrzyń dokonana będzie przez Komitet Organizacyjny Polskiego Działu Międzynarodowej Wystawy Łowieckiej w Berlinie.

4) W celu łatwiejszego przenoszenia skrzyń, a także umożliwienia stawiania ich jednej obok drugiej, należy je zaopatrywać w uchwyty na bocznych ściankach (ryc. 1 i 4 a). Uchwyty te sporządzać trzeba z powrozów i przedzierzgać je, umocowując supłami, przez odpowiednie, przyśrubowane do skrzyni klamry, lub wyświdrowane w tych ściankach otwory. Żelazne uchwyty łatwo ulegają złamaniu i wskutek swej sztywności utrudniają przenoszenie i ustawianie skrzyń.

5) Na bocznej ściance, zaopatrzonej w uchwyt, umieszcza się napis „góra — oben" i „dół — unten" w celu zapobieżenia przewróceniu lub niewłaściwemu postawieniu skrzyń przy przewozie.

6) Przednią ściankę — wieko zaopatrujemy u góry w adres berliński (dokładny adres będzie podany

przez Komitet później), przedzielamy wieko czarną linją i u dołu umieszczamy adres właściciela trofeum, przybijając na nim listewki, które przy zwrocie trofeum umieszczone będą na adresie berlińskim w celu uniknięcia pomyłek.





Ryc. 3. Ryc. 4. Ryc. 5.

7) Wewnątrz skrzyni na ściance dolnej, tylnej i dwóch bocznych (węższych) umocować należy pochyłą deskę (ryc. 2 a i 3). Do tej deski przyśrubować trzeba deseczkę, lub tarczę, na której mieści się poroże. Wówczas wieniec jelenia np. zajmie w skrzyni wygodne położenie (ryc. 2 a i 3). Przy pakowaniu większej ilości parostków sarnich posługiwać się należy skrzynią tej samej wielkości, jak dla wieńców jelenich. W skrzyni takiej na trzech pochyłych deskach da się pomieścić 36 par parostków (wysyłka zbiorowa) (ryc. 5 widok z boku). Rosochy łosia wymagają niższych lecz za to szerszych skrzyń. Dla łopat daniela sporządzamy skrzynię odpowiednich wymiarów, podobnie, jak dla wieńców jelenich, a haki kozic ewentualnie umieszczać należy razem z parostkami sarniemi.

Parostki sarnie, ze względu na asekurację i koszt, lepiej byłoby wysyłać w skrzynkach osobnych o standaryzowanym wyglądzie. W tym wypadku, kiedy wystawca wysyłać będzie różnorodne eksponaty, dające się pomieścić w jednej skrzyni, wewnętrzne jej urządzenie i wielkość mogą ulec modyfikacji. Wewnątrz skrzyni musi być na tylnej ścianie naklejona kartka z napisem, określającym zawartość skrzyni w dwóch językach (polskim i niemieckim).

Koszt wykonania skrzyni na poroża jeleni i łosi wynosi, jak stwierdzono przy wykonaniu modelu, 20 zł., która to kwota będzie zwrócona każdemu wystawcy przez Komitet Organizacyjny. O ile wystawca będzie chciał zatrzymać skrzynię na własność, Komitet zwróci 10 zł. od dużej skrzyni.

KOMITET ORGANIZACYJNY
POLSKIEGO DZIAŁU MIĘDZYNARODOWEJ
WYSTAWY ŁOWIECKIEJ W BERLINIE

Z POLSKIEGO ZWIĄZKU ŁOWIECKIEGO.

KU UWADZE DZIERŻAWCÓW ŁOWISK W LASACH PAŃSTWOWYCH.

W dniu 6 kwietnia r. b., na konferencji, która odbyła się w Naczelnej Dyrekcji Lasów Państwowych z udziałem przedstawicieli Polskiego Związku Łowieckiego, nastąpiło uzgodnienie czasu umowy na dzierżawę terenów łowieckich w lasach państwowych. Tem samem ta nader poważna sprawa, która nasuwała wiele spornych kwestyj, została załatwiona.

ODEZWA KOMISARJATU RZĄDU NA M. ST. WARSZAWĘ

Komisariat Rządu na m. st. Warszawę rozesłał do Stowarzyszeń Łowieckich, mających siedzibę na terenie Warszawy pismo z dnia 7 b. m. Nr. SP. II — 2 — 68 treści następującej:

Celem omówienia wspólnych zagadnień, które dotyczą wszystkich organizacyj i zrzeszeń o charakterze łowieckim — Komisarjat Rządu na m. st. Warszawę wspólnie z Polskim Związkiem Łowieckim zwołuje na dzień 22 kwietnia r. b. na godz. 18-tą w sali Warszawskiego Towarzystwa Wioślarskiego przy ul. Pierackiego Nr. 19 zebranie delegatów wszystkich stowarzyszeń i klubów myśliwskich z terenu Warszawy.

W związku z powyższem Komisarjat Rządu prosi o delegowanie dwóch przedstawicieli upoważnionych do występowania w imieniu organizacji.

Porządek dzienny zebrania:

1. *Zagajenie przez delegata Komisarjatu Rządu na m. st. Warszawę.*
2. *Sprawy łowieckie.*
3. *Sprawy organizacyjne.*
4. *Wolne wnioski.*

ZA KOMISARZA RZĄDU
Kazimierz Lang
Radca

PROTOKÓŁ POSIEDZENIA WYDZIAŁU WYKONAWCZEGO Z DNIA 1 KWIETNIA 1937 R.

Obecni pp.: Przewodniczący prof. Józef Gieysztor, Maurycy hr. Potocki, Jerzy Dylewski, red. Walenty Garczyński, Bohdan Gędziorowski, Kazimierz Kamieński, inż. Herman Knothe, Czesław Lisowski, Józef Skrzypek, Andrzej Śliwiński, Kazimierz Świderski, dr. Aleksander Tallen-Wilczewski; protokółował Jerzy Bokiewicz.

Po zatwierdzeniu protokółu posiedzenia Wydziału Wykonawczego z dnia 4 marca r. b., p. prof. Gieysztor omówił wykonanie uchwał i podał do wiadomości ważniejsze fragmenty działalności Związku w ciągu ostatniego miesiąca.

Złożony p. Ministrowi Spraw Wewnętrznych memorjał o potrzebie zasięgania przez starostwa opinji Łowczych Powiatowych przy wydawaniu i odnawianiu kart łowieckich — ogłoszony został w „Łowcu Polskim" Nr. 10 z dnia 1 b. m.

W pierwszej połowie marca utworzone zostały Tymczasowe Wojewódzkie Rady Łowieckie na województwa kieleckie i poleskie, których skład ogłoszony już został w „Łowcu Polskim".

Na stanowisko prezesa Tymczasowej Wojewódzkiej Rady Łowieckiej na województwo łódzkie powołany został p. Józef Krauze.

Obecnie więc cały już obszar Rzeczypospolitej objęty jest działalnością Oddziałów względnie Tymczasowych Wojewódzkich Rad Łowieckich.

Wobec napływających zapytań co do trybu przeprowadzania reorganizacji Związku na terenie powiatów i województw— rozesłany został do wszystkich Oddziałów i Tymczasowych Wojewódzkich Rad Łowieckich okólnik, przypominający plan i poszczególne etapy reorganizacji. Okólnik ten zamieszczony został w „Łowcu Polskim".

Oddziałowi Związku w Katowicach, Śląskiemu Towarzystwu Łowieckiemu, przesłane zostały przez Związek odbitki projektu noweli do prawa łowieckiego z poleceniem podjęcia starań, aby projekt ten został przedłożony Sejmowi Śląskiemu, jako podstawa do uchwalenia ustawy o prawie łowieckiem dla województwa śląskiego.

Na wniosek Oddziału Związku w Wilnie, Towarzystwa Łowieckiego Ziem Wschodnich, złożono p. Ministrowi Spraw Wojskowych prośbę o wydanie rozkazu, zezwalającego oficerom w służbie czynnej, stanie spoczynku i rezerwie — na należenie do Związku w charakterze członków.

P. red. Garczyński postawił wniosek o ogłoszenie komunikatu do Stowarzyszeń Związkowych, aby przesłały Łowczym zarówno w powiatach, w których Stowarzyszenia te mają siedzibę, jak i w powiatach, w których posiadają tereny łowieckie wykazy swych członków z uwidocznieniem którzy z nich są członkami zwyczajnymi Związku, celem ustalenia ilości głosów, jaka Stowarzyszeniom tym przysługiwać będzie na Walnych Zgromadzeniach Powiatowych.

Wniosek ten został przyjęty.

Na wniosek p. red. Garczyńskiego, postanowiono zlecić wojewódzkim organom Związku, aby dla celów organizacyjnych i propagandowych — poczyniły starania u władz administracyjnych Państwa w kierunku uzyskania spisów zarejestrowanych Stowarzyszeń Łowieckich i wykazów osób, posiadających karty łowieckie.

Wydział Wykonawczy przyjął do wiadomości opracowany przez p. prof. Gieysztora plan zobrazowania — za pomocą artystycznych kartonów — rozwoju łowiectwa polskiego na tle dziejów. Praca ta podjęta została w związku z organizacją Działu Polskiego Międzynarodowej Wystawy Łowieckiej w Berlinie.

Towarzystwo Łowieckie Ziem Wschodnich zawiadomiło Związek, że p. Benedykt hr. Tyszkiewicz wyraził zgodę na przeznaczenie ofiarowanej przezeń uprzednio na ogłoszenie konkursu na odznakę członkowską kwoty zł. 300 — na nagrody dla młodych malarzy, wyróżnionych na wystawie „Łowiectwo w sztuce".

Wydział Wykonawczy uchwalił przesłać p. hr. Tyszkiewiczowi serdeczne podziękowanie za tę ofiarę.

P. hr. Potocki zakomunikował, że wzór odznaki członkowskiej został już, zgodnie z uchwałą Zarządu Związku, zatwierdzony przez Prezydjum. Wykonanie sztancy powierzone zostało firmie Gontarczyk, która szczegóły wykonania uzgodnić ma z p. Chrostowskim.

Rysunki stroju łowieckiego, których wykonania podjął się p. Czampe, przedstawione być winny, wraz z wzorem odznaki członkowskiej, do zatwierdzenia władzom państwowym, następnie zaś — zamieszczone w „Łowcu Polskim".

Na wniosek Komitetu Redakcyjnego „Łowca Polskiego" Wydział Wykonawczy postanowił zaprosić na członka tegoż Komitetu p. prof. dr. Kazimierza Wodzickiego.

Po rozpatrzeniu pisma Związku Ziem Górskich, Wydział Wykonawczy uchwalił przekazać temu Związkowi tytułem składki członkowskiej za rok 1937 — kwotę złotych 100.

P. prof. Gieysztor przypomniał inicjatywę ułatwienia młodym plastykom studjów nad tematami łowieckiemi i zwrócił się do członków Wydziału Wykonawczego z prośbą o zabranie do swych łowisk w okresie wiosennym młodych artystów. Ułatwienie wyjazdu dla 4-ch młodych malarzy zadeklarowali pp.: hr. Potocki, prof. Gieysztor, Skrzypek i dr. Tallen-Wilczewski.

Wydział Wykonawczy uchwalił, że do czasu ukonstytuowania Kapituły Odznaczeń rozpatrywane będą tylko wnioski o nadanie Srebrnego i Bronzowego Medalu Zasługi Łowieckiej funkcjonarjuszom policji państwowej do stopnia przodownika włącznie, funkcjonarjuszom służby leśnej do stopnia leśniczego włącznie oraz strażnikom łowieckim.

Wnioski te przed decyzją Wydziału Wykonawczego kwalifikowane będą przez Komisję, złożoną z pp. prof. Gieysztora, red. Garczyńskiego i inż. Knothego.

Wydział Wykonawczy powierzył p. red. Garczyńskiemu porozumienie się z p. Daszkiewiczem dla ustalenia szczegółów zainicjowanego uczczenia pamięci ś. p. gen. Stanisława Skrzyńskiego.

WALNE ZGROMADZENIA ORGANÓW POLSKIEGO ZWIĄZKU ŁOWIECKIEGO.

POWIAT RADOM WOJ. KIELECKIEGO.

Walne Zgromadzenie Powiatowe członków zwyczajnych i nadzwyczajnych Polskiego Związku Łowieckiego z terenu powiatu radomskiego odbędzie się w dniu 20 kwietnia 1937 r. w lokalu Kasyna Fabryki broni, ul. Kościuszki Nr. 2, z następującym porządkiem dziennym:

1. Zagajenie Zgromadzenia, wybór sekretarza i 2-ch asesorów do prezydjum.
2. Wybór 5-ciu członków Powiatowej Rady Łowieckiej.
3. Ukonstytuowanie się Powiatowej Rady Łowieckiej.
4. Wybór delegata na Walne Zgromadzenie Wojewódzkie.
5. Wnioski, związane z organizacją Rady Powiatowej.

Radom, dnia 5 kwietnia 1937 r.

ŁOWCZY POWIATOWY P. Z. Ł.
TADEUSZ DZIERŻYŃSKI, mjr.

POWIAT LIDA WOJ. NOWOGRÓDZKIEGO.

Walne Zgromadzenie Powiatowe członków zwyczajnych i nadzwyczajnych Polskiego Związku Łowieckiego powiatu lidzkiego odbędzie się dnia 26 kwietnia r. b., o godzinie 14-ej, w lokalu starostwa powiatowego w Lidzie.

ŁOWCZY POWIATOWY P. Z. Ł.
Dr. MARJAN BUCZYŃSKI, ppłk.

POWIAT OSTROŁĘKA WOJ. BIAŁOSTOCKIEGO.

Dnia 2 maja b. r. o godz. 11 w sali Rady Miejskiej w Ostrołęce odbędzie się doroczne zebranie Powiatowej Rady Łowieckiej i zjazd myśliwych z całego powiatu ostrołęckiego.

ŁOWCZY POWIATOWY P. Z. Ł.
IGNACY IGLIKOWSKI

POWIAT POSTAWY WOJ. WILEŃSKIEGO.

W myśl § 54 statutu Polskiego Związku Łowieckiego, zawiadamia się członków zwyczajnych i nadzwyczajnych Związku w powiecie Postawy, iż Walne Zgromadzenie Powiatowe odbędzie się w dniu 2 maja b. r. w lokalu Kasyna urzędniczego w Postawach, o godzinie 10-ej.

ŁOWCZY POWIATOWY P. Z. Ł.
INŻ. WACŁAW JĘDRYSIAK

ZE STOWARZYSZEŃ KYNOLOGICZNYCH.

KLUB HODOWCÓW WYŻŁA NIEMIECKIEGO

zawiadamia wszystkich hodowców i miłośników psa myśliwskiego, że w dniu 5 maja r. b. w Komaszycach pod Inowrocławiem odbędą się próby młodych wyżłów, organizowane przez „Łowca Wielkopolskiego" i jego sekcję kynologiczną, jako członka Klubu Hodowców Wyżła Niemieckiego.

Zgłoszenia przyjmuje Zarząd Klubu — Warszawa, Nowy Świat 35 m. 17, oraz sekretarjat „Łowca Wielkopolskiego" — Poznań, Piekary 5 m. 5.

Za psy dostarczone na próby przez menerów nie pobiera się opłat.

Dla uczestników przewidziano szereg nagród.

Do popisów tych dopuszczone będą wyżły młode, przed okresem ich tresury, urodzone po 1 stycznia roku ubiegłego, celem stwierdzenia przymiotów i zdolności, nieodzownych u kandydatów do wszechstronnego wyszkolenia.

SETTER KLUB W POLSCE

zawiadamia, że 6-te field - trialsy odbędą się dnia 2 maja r. b. w Radzyminie. Początek konkursów o godz. 8.15.

Nagrody pieniężne w łącznej kwocie zł. 800.

Zamknięcie listy zgłoszeń psów dn. 26 kwietnia o godz. 20-ej.

Zborny punkt w Warszawie przy przystanku autobusów (róg Al. Jerozolimskich i Nowego Świata) o godz. 7-ej rano lub na stacji kolejki Mareckiej (Stalowa 60, tramwaj Nr. 18), o godz. 6.30.

Zborny punkt w Radzyminie — w Kasynie.

Odjazd do Radzymina z Warszawy: autobusami — o godz. 7.20 i 8.15, oraz kolejką — o godz. 6.57, 8.32, 10.30 i 12.10.

Środki lokomocji na konkursach zapewnione. Przewodnicy Klubu na stacji kolejki (opaska niebieska S. K.).

Śniadanie i obiad w Kasynie. Goście mile widziani.

Zapis psów i zarezerwowanie miejsc w autobusie — u członka zarządu A. Brudnickiego — Krucza 34, tel. 8-51-14.

POTOCZNA TERMINOLOGIA ŁOWIECKA.

NIEDŹWIEDŹ (URSUS ARCTOS).

Barłóg (legowisko), miejsce spoczynku, wysłane z gruba gałązkami, liśćmi i mchem; miejsce, w którym niedźwiedzica rodzi.

Bartnik, nazwa brunatnego niedźwiedzia, który zwietrzywszy leśną barć lub pasiekę pszczół, wyjada z nich miód.

Białoszyjnik, niedźwiedź z białym włosem na szyi.

Cieczka, patrz — grzanie.

Dół niedźwiedzi, dół—pułapka do chwytania niedźwiedzi żywcem.

Drabinę stawiać. Niedźwiedź „stawia drabinę", gdy wspina się na przednich łapach.

Futro, skóra niedźwiedzia wraz z włosami.

Gawra, legowisko podczas snu zimowego.

Gawrować. Niedźwiedź „gawruje", gdy przebywa w zimowym leżu t. j. w gawrze.

Gruba. Niedźwiedzica jest „gruba" w czasie noszenia płodu.

Grzać się. Niedźwiedzica „grzeje się", gdy znajduje się w okresie popędu płciowego.

Grzanie się (cieczka), znajdowanie się w okresie popędu płciowego.

Jucha, krew.

Juszyć. Niedźwiedź „juszy", gdy raniony znaczy krwią drogę, którą przechodzi.

Kły, boczne zęby.

Komora, przednia część korpusu, obejmująca płuca i serce.

Kosmacz, niedźwiedź.

Kudłacz, stary niedźwiedź.

Kudły, włosy (sierść).

Legowisko, patrz — barłóg.

Łapa, noga.

Łazić, wolno chodzić.

Mamrotać (mruczeć), wydawać łagodny głos, jakby zadowolenia.

Marucha, niedźwiedź.

Misio (miś), żartobliwa nazwa niedźwiedzia.

Miś, patrz — misio.

Mrowiarz (mrownik), niedźwiedź, wyjadający z mrowiska jaja i poczwarki, a także wosk mrówczy.

Mrownik, patrz — mrowiarz.

Mruczeć, patrz — mamrotać.

Mruczna. Niedźwiedzica jest „mruczna" wtedy, gdy chodzi ciężarna i mruczy pod nosem.

Niedźwiedzica, stara samica.

Obielać (ociągać), zdejmować skórę.

Ociągać, patrz — obielać.

Okocić się, płód wydać.

Paszcza, patrz — paszczęka.

Paszczęka (paszcza), pysk.

Piastun, niedźwiadek, towarzyszący matce do następnego roku; podrosły niedźwiadek, który dozoruje młode.

Położyć niedźwiedzia. Osacznik „położył niedźwiedzia", gdy stwierdził zimą po tropach wchodowych i wychodowych, że niedźwiedź lub niedźwiedzie zaległy w pewnym ostępie.

Poryk (ryk), głos.

Przebijać się. Niedźwiedź „przebił się", gdy przerwał linię naganki lub myśliwych.

Ryk, patrz — poryk.

Sadlisty (a), tłusty (a).

Sadzić, szybko uciekać.

Słaby (a), mały (a).

Sutki, brodawki mleczne.

Ślepia, oczy.

Wichrzyć. Niedźwiedź „wichrzy", gdy rozjuszony ciska kamienie w przeciwnika.

Wietrznik, nos.

Wietrzyć, węszyć.

Wodzić za pasy, patrz — zamiatać.

Zamiatać (wodzić za pasy). Niedźwiedź „zamiata (wodzi za pasy)", gdy walczy i broni się dookoła.

JÓZEF WŁADYSŁAW KOBYLAŃSKI

*

Podobnie, jak w poprzednich numerach „Łowca Polskiego", podajemy terminologię niedźwiedzia, jako rzecz dyskusyjną, prosząc o nadsyłanie uzupełnień lub sprostowań.

KOMISJA JĘZYKOWA



„MŁODY POLAK" A ŁOWIECTWO.

Starym jest przysłowie, znane powszechnie i używane dotąd w przenośni, a mówiące, że „ptak tak śpiewa, jak mu dziób urósł". To co dziecko wyssało z piersi matki tego mu żadne rozporządzenie, żadna ustawa, żaden mocarz tej ziemi nie wydrze ze serca, chyba razem ze sercem. Dlatego też książki i pisma, które podajemy dzieciom i młodzieży jako strawę duchową — powinny zawierać myśli czyste i szlachetne. Pismem takim, stojącym przy tym na gruncie państwowo-patriotycznym jest dwutygodnik dla dzieci i młodzieży p. t. „Młody Polak", wydawany przez Stowarzyszenie Chrześcijańsko-Narodowego Nauczycielstwa Szkół Powszechnych (Warszawa, ul. Chmielna 58).

Biorąc pod uwagę wyłącznie zagadnienia myśliwsko-przyrodnicze musimy przyznać bez zastrzeżeń pierwsze miejsce „Młodemu Polakowi" wśród innych pism dla młodocianych. Chętnie przeglądam ostatnie numery tego pięknego pisma i... o dziwo! znajduję tu starych znajomych z prac łowieckich, ogłaszanych w różnych pismach. Nowelka M. Nagody „Sidła" zaszczepia pogardę dla kłusowników, wnykarzy i sidlarzy. W „Naszych liskach" znana autorka Z. Kelus-Lipkowska daje obrazek z życia oswojonych lisiąt - sierotek, podkreślając też łatwość zadzierzgnięcia serdecznych węzłów przyjaźni pomiędzy człowiekiem a zwierzęciem—a w innym zaś artykule p. t. „Gość w tajemniczej alei" mówi o wykarmieniu i wychowaniu chorej wiewiórki przez kotkę.

Świetna Redaktorka „Młodego Polaka", M. Niklewiczowa, w pracy „Jak Franek przekonał pana opiekuna" pisze o dokarmianiu i ochronie ptaków i wogóle o miłości dla zwierząt, a w wierszu „Nasza klatka" — o szpitalu dla chorych i bezdomnych różnorodnych stworzeń. Artykuł Roga „Czystość u ptaków" świadczy o dążeniu redakcji do wszechstronnego zaznajomienia młodych czytelników z naturą. Znany z łamów „Łowca Polskiego" inż. W. Lindeman zajmuje pokaźną rubrykę w „Młodym Polaku", dając interesujące i poparte własnymi rysunkami prace, jak „Zimowe sny", gdzie czytamy o niedźwiedziu śpiącym w gawrze, o jego życiu i znaczeniu jego ochrony; w nowelce p. t. „Noc Wigilijna w lesie", podaje autor pokrótce, w formie rozmowy myśliwego z sarną, zającem i cietrzewiem — poczynania i obowiązki myśliwego - hodowcy, troszczącego się o dobro zwierzostanu; uwypuklił tu też głęboką wdzięczność zwierząt dla człowieka-przyjaciela. Wreszcie wiersz Lindemana „Sen borsuka" odtwarza żywo nastrój ciemnej, przytulnej nory tłustego śpiocha.

Z braku miejsca nie piszę o innych łowieckich utworach. We wszystkich tych pracach znajdujemy metodyczne, planowe dążenie do wzbudzenia w młodych duszach szczerej miłości dla żywej przyrody i zrozumienia konieczności jej ochrony oraz walki z niszczycielami wieczystego piękna rodzimej ziemi.

Słusznie uskarżamy się, że starsza generacja prawidłowych myśliwych, schodząc z areny życia nie pozostawia po sobie godnych następców. I słusznie z drugiej strony cieszymy się, gdy młodzież akademicka zrzesza się w kółka łowieckie. Są to owoce wychowania z lat dziecinnych. Stąd też „Młody Polak" za-

służuje się dobrze ojczystej sprawie łowieckiej, przygotowując potrzebny nam tak bardzo narybek. Z tego też więc powodu pismo to, będące awangardą lepszej przyszłości łowiectwa polskiego, a kosztujące 2 zł. półrocznie, powinno się znaleźć pod dachem każdego myśliwego, którego Bóg obdarzył największym szczęściem doczesnym, t. j. dziećmi.

JÓZEF WŁADYSŁAW KOBYLAŃSKI.

Z PRASY ZAGRANICZNEJ.

LE SAINT HUBERT

Nr. 3/1937. Str. 59. Fr. Edmond-Blanc *„Polowanie na nartach"*. — Polowanie na nartach w Alpach Tyrolskich na pardwy i bieloki uważa autor za jedno z najbardziej emocjonujących. Jest to wyjątkowe połączenie dwu pasjonujących sportów: narciarstwa i myślistwa, połączonych nadto dwojakim sposobem łowieckim — tropieniem i wypatrywaniem zwierzyny. Terenem polowania były okolice Zürs am Arlberg na wysokości ponad 2000 metrów. Powodzenie polowania zależy przedewszystkiem od pogody: śnieżyca lub wiatr, zacierające ślady, uniemożliwiają odszukanie zwierzyny podobnie, jak brak śniegu. Długa przerwa w opadach śnieżnych utrudnia również nadzwyczajnie wytropienie zwierzyny, gdyż ilość śladów tak się zagęszcza, że nie sposób jest orjentować się w nich. Najpomyślniejszym jest okres po upływie 12 godzin od spadnięcia śniegu: zwierzyna dała już świeże tropy i daje się łatwo podejść blisko, gdyż ufa w swoje białe futro czy upierzenie i przywarowuje. Strzelać trzeba jednak szybko i dobrze, zwłaszcza pardwy, gdyż po zerwaniu się odlatują daleko w górę lub w dół i trzeba znowu rozpoczynać bądź wspinaczkę bądź zjazd, najczęściej już bezskuteczne, bo ptaki stają się ostrożne, a przykrycia brak. Autor opisuje, jak uganiał się za jednym bielakiem przez 11 dni, bo wykorzystując znajomość terenu, zając był zawsze na dole, kiedy myśliwy na górze i odwrotnie. Innym zato razem udało mu się w ciągu jednego dnia wziąć 2 pardwy i 2 bielaki.

OESTERREICHS WEIDWERK

Nr. 5/1937. Str. 65. G. Westermann *„O słonkach"*. — Obserwacje prowadzone przez myśliwych i przyrodników wyjaśniły już dużo stron życia sympatycznego zwiastuna wiosny — słonki. Wiemy, że z miejsc lęgowych słonki, obejmujących szeroki zasięg, bo według Meerwarth - Soffela od wysp W. Brytanji poprzez Skandynawję, Europę środkową, kraje bałkańskie, Rosję, Azję północną do Kaszmiru i Himalajów, oraz kraj Usuryjski i Japonję aż do Madery, wysp Kanaryjskich i Azorskich włącznie — odlatuje ona jesienią, przed nadejściem mrozów, na leże zimowe—według Schenka do Azji Mniejszej, Grecji, Hiszpanji, Francji południowej, Włoch i Afryki północnej, a nawet do Irlandji i Anglji południowej, gdzie zimują słonki z Norwegji i Szwecji. Lecą słonki nie wielkiemi rzeszami, ale pojedynczo lub parami, najczęściej w nocy, szerokim frontem, zagęszczającym się tylko wzdłuż pobrzeży morskich, kiedy słonki, wzorem innego ptactwa przelotnego, omijają otwarte morze. Wracają słonki na miejsca lęgowe wczesną wiosną, kiedy odtaje ziemia i umożliwia wydobywanie miękkim dziobem pożywienia z rozmiękłego gruntu. To też recholanie żab, obudzonych ze śpiączki zimowej, jest zawsze oznaką przybycia długodziobów. Owady nie stanowią poważniejszego pożywienia słonki, gdyż budowa dziobu uniemożliwia zdobywanie ich w locie. Podczas obu przelotów — wiosennego i jesiennego — słonki zatrzymują się na kilkudniowy odpoczynek w miejscowościach, zapewniających im pożywienie, i wówczas też odbywa się głównie polowanie na nie. W miejscach lęgowych istnieją ponadto ciągi słonek letnie, mianowicie podczas drugiego lęgu jaj w lipcu. Słonki wylęgłe z tych powtórnych lęgów wracają zazwyczaj pierwsze z leży zimowych i różnią się od starych tem, że są mniejsze i mają nogi szaro-niebieskie, nie żółtawe, jak słonka wyrośnięta. Obserwacje stwierdziły, iż dla odróżnienia na ciągach samca od samiczki, służyć mogą wskazówki następujące: samce ciągną za światła i chrapią, samiczki zjawiają się już po ściemnieniu i przelatują milcząc.

WILD UND HUND

Nr. 52/1937. *„Wzbronienie przywozu zajęcy i królików"*. — Ministerstwo spraw wewnętrznych Rzeszy rozporządzeniem z dnia 9 marca r. b. wzbroniło przywozu do Niemiec oraz przewozu przez Niemcy zajęcy i królików tak żywych, jak bitych, pochodzących z Austrji, Węgier, Czechosłowacji, Rumunji, Jugosławji, Bułgarji, Albanji, Grecji i Turcji, jako z krajów, porażonych chorobą Tularaemia, udzielającą się również ludziom.

J. G.

NA KACZKI Z KRYKUCHĄ.

Jednym z rodzajów polowań na ptactwo wodne jest znany od XVI wieku sposób posługiwania się ptactwem oswojonem, używanem jako wabik. Sposób ten stosowany być może tylko na niektóre gatunki ptactwa wodnego; szczególnie na kaczki. Rzadziej używa się go do polowań na gęsi, a najmniej na łabędzie. Jeśli chodzi o kaczki, to przynosi on nieraz obfite rezultaty, a zwłaszcza wtedy, gdy polujący posługuje się dobrze przygotowanemi do tego celu krykuchami.

Istnieją specjalne hodowle kaczek do polowań, pochodzących ze skrzyżowania dzikiej kaczki (krzyżówki) z szarą kaczką domową. Dobrze jest przytem skrzyżowanie takie przeprowadzić przez kilka pokoleń. Wyhodowane z tych skrzyżowań kaczki mogą bez przerwy przez 10 — 12 godzin krzyczeć, zastępując jednocześnie sztuczny wabik i t. zw. bałwanka.

Najwięcej krykuch hoduje Rosja Sowiecka, gdyż tam ten sposób polowań i obecnie jest bardzo często stosowany. Jak podaje A. Kompaniec w jednym z zeszytów pisma „B o j e c o c h o t n i k", hodowla ta odbywa się w warunkach, bardzo zbliżonych do naturalnych. Kaczki trzymane są na otwartem powietrzu nawet podczas chłodnej i deszczowej pogody. Jednakże przy temperaturze niższej, niż 10 stop. C, ściele im się trochę słomy, aby miały w co się zagrzebać; a z chwilą nastania silnych mrozów, umieszcza się je w nieogrzewanych budynkach, najczęściej w stodołach. Lecz i wówczas nie pozostawia się ich bez wody, którą podaje się w naczyniach, lub urządza się w budynku specjalny dół, napełniając go wodą. Wytworzony na powierzchni lód trzeba usuwać każdego dnia rano. Wodę należy zmieniać.

Odżywiać kaczki radzi A. Kompaniec przeważnie zbożem: gryką, owsem i jęczmieniem. Można dawać od czasu do czasu chleb i kaszę, lecz tylko do stycznia, gdyż później kaczki tuczą się i nie niosą jaj, zniesione zaś bywają przeważnie niezapłodnione. Utuczone kaczki na polowaniach słabo krzyczą i niedługo. Kaczory przez cały czas hodowli dobrze jest trzymać w odosobnieniu. W wypadku, gdy są razem, należy je, ze względu na to, że krykuchy dobrze wabią dzięki ich skłonności do macierzyństwa, koniecznie oddzielić już w styczniu. Po takiem odosobnieniu można je puszczać na wodę.

Zabiera się wtedy kaczki do kosza i przenosi na rzekę o możliwie słabym prądzie. Nie można ich puszczać na wodę bez zabezpieczenia się przed ucieczką. W tym celu dobrze jest pouwiązywać je za nogi na długich sznurkach, osadzając na wodę mniej więcej o sto metrów jedną od drugiej. Kaczki, gdy się przyzwyczają przebywać na jednem miejscu, zaczynają się zwoływać, krzycząc bez ustanku.

Kąpanie kaczek powinno się odbywać bez względu na pogodę codziennie. Młode, które z wodą jeszcze się nie oswoiły, chętniej idą na wodę, gdy jest ciepło.

Samo uwiązanie, zabezpieczające przed ucieczką, trzeba urządzić tak, aby kaczka nie odczuwała, że ma coś na nodze, w przeciwnym razie zawsze będzie starała się pozbyć uwięzi. Można to osiągnąć przez sporządzenie luźnej obwódki skórzanej, w rodzaju paska, dającej się swobodnie zdejmować i zakładać. Często zdarza się, że po takiej próbie, wskutek nadwyrężenia nogi, kaczki kuleją. Zapobiec temu można, uwiązując kaczkę kolejno za prawą, to za lewą nogę.

Początkowo kąpiele kaczek nie powinny przekraczać 20 minut. Czas ten stopniowo zwiększa się do 2 godzin. Kiedy już kaczki przyzwyczają się do uwięzi, trzeba je oswajać potrochu ze strzałem. Najlepiej jest czynić to podczas karmienia, kiedy są głodne i chciwie zjadają pokarm, nie zważając na strzały. Jeżeli podczas strzelania kaczki przestraszą się i zaczną nurkować, trzeba niezwłocznie puścić na wodę kaczora, w obecności którego prędko się uspokajają.

Polowanie z krykuchą możliwe jest zarówno wiosną, jak i w lecie. Wiosną kaczory chętnie idą na głos wabiącej krykuchy zaraz po przylocie. Obojętny na głos krykuchy staje się kaczor dopiero wtedy, kiedy dobierze sobie samicę, lecz gdy tylko ta ostatnia siądzie na jajach, zaraz porzuca swą neutralność wobec

wabiącej zlatuje do niej bardzo chętnie. Nieudane są polowania z krykuchą tylko w okresie przed rozpoczęciem linienia kaczorów. Na jesieni zaś dobrze się wabią nietylko stare kaczory, lecz i młode, a nawet samice.

Przed rozpoczęciem polowania z krykuchą trzeba przygotować dobre ukrycie. Można je zrobić w gęstych krzakach, na brzegu wody, lub też na wodzie, w braku zaś zarośli trzeba zawczasu urządzić schronisko sztuczne, aby przylatujące kaczki mogły oswoić się z niem. Polujący musi ukryć się przed okiem kaczek nietylko z boków lecz i z góry. Schronisko winno znajdować się w miejscu, położonem w stosunku do luk strzelniczych w dole rzeki, aby odstrzelone kaczory spływały ku polującemu, jeżeli zaś polowanie odbywa się na wodzie stojącej, to upolowane kaczory trzeba koniecznie sprzątać, aby pływające nie odstraszały przylatujących.

Rozpoczynać polowanie z krykuchą trzeba przed wschodem słońca, kiedy jeszcze dzikie kaczki śpią. Krykucha zaczyna wówczas wabić wcześniej od dzikiej kaczki i nie pozwala w ten sposób odlatywać od siebie znajdującym się w pobliżu kaczorom.

Jeżeli na polowanie bierze się więcej, niż jedną krykuchę, to trzeba je umieszczać w takiej odległości, aby jedna, słysząc drugą, nie widziała jej. Wówczas będą one bez przerwy nawoływać, doskonale wabiąc dzikie kaczory. Gdy zaś jedna drugą widzi, czują się w towarzystwie i mało krzyczą.

Umieszcza się kaczki nie dalej niż 10 — 15 metrów od myśliwego na sznurkach 2 — 2,5 m.

Puszczając na wodę z krykuchą kilka sztucznych „modeli", trzeba ją umieszczać zawsze po środku tych ostatnich, opuszczając na wodę bez wyraźnego porządku w takiej odległości, aby uwiązana krykucha nie zaplątała się w sznurkach, na których uwiązane są bałwanki.

Bardzo często myśliwi zabierają na polowania także i kaczory. Czynią to w celu pobudzania krykuch do intensywniejszego wołania. Jeżeli kaczka przestanie nawoływać, lub gdy woła bardzo rzadko, wystarczy tylko poruszyć kosz, w którym znajduje się kaczor, aby ten ostatni niezwłocznie zaczął krzyczeć. Na głos krzyczącego kaczora krykucha ożywia się, woła częściej i głośniej. Dobrze jest, gdy nadto myśliwy naśladuje krykuchę, lub robi to przy pomocy wabika. Zdaleka kaczor nie rozróżni naśladownictwa, lecz kiedy się zbliży, pozna fałsz. Dlatego też wabić samemu trzeba tylko wtedy, gdy krykucha mało krzyczy, a kiedy zwabiony kaczor zwróci uwagę na fałszywy głos, trzeba cierpliwie milczeć, oczekując zbliżenia się go na odległość strzału.

Na noc trzeba krykuchę napoić, nakarmić i umieścić w specjalnym koszu, gdzie mogłaby należycie osuszyć się i odpocząć. To samo robi się i w dzień, podczas przerw w polowaniu. W tym wypadku lepiej jednak puszczać je na sznurku na pastwisko. Podczas dłuższych polowań, szczególnie gdy woda jest zimna, należy bezwarunkowo kaczki zmieniać. Uniknąć tej zmiany można tylko, dając krykusze należyty wypoczynek. Toteż myśliwi, wybierając się na dłuższe polowanie, zabierają ze sobą krąg z drzewa, o powierzchni mniej więcej 1 m. kw., obracający się dokoła swej osi. Uwiązane kaczki do brzegów tego kręgu, mają możność odpoczynku, wchodząc na niego na pewien czas. Często koło takie zastępuje związany pęk siana, umocowany, jak i koło, na kiju.

Przeziębiona krykucha nie krzyczy.

Kosz, w którym umieszcza się krykuchy, powinien zawierać dla każdej kaczki oddzielne, wysłane sianem miejsce, a dla dostępu powietrza — specjalne otworki. Przedziały dla kaczek nie mogą być zbyt duże, aby podczas przenoszenia znajdujące się w nich kaczki miały dobre oparcie.

STEFAN M. MACKIEWICZ

PRZEZ MIKROFON.

Dowiadujemy się że letni program ramowy Polskiego Radja przewiduje szereg pogadanek z cyklu „Lato w życiu myśliwego".

Pogadanki będą ilustrowane uprzednio nagranemi z natury efektami akustycznemi.

Audycje te, poza stroną informacyjną dla myśliwych, oparte będą o propagandę etyki myśliwskiej.

Zapowiedź pogadanek myśliwskich witamy ze szczerą wdzięcznością i uznaniem.

O dacie rozpoczęcia cyklu pogadanek, o poszczególnych terminach i stałej ich godzinie nastąpi osobne zawiadomienie w niniejszej rubryce.

TREŚĆ NUMERU.

KOMITET REDAKCYJNY: K. Czampe, J. Dylewski, W. Garczyński, B. Gędziorowski, J. Gieysztor, I. Grymiński, Wł. Janta-Połczyński, W. Kiltynowicz, Z. Kleszczyński, H. Knothe, J. W. Kobylański, St. Leski, M. Mniszek-Tchorznicki, E. Niezabitowski, F. A. Ossendowski, M. hr. Potocki, St. Prus-Wiśniewski, B. Przychodźko, A. hr. Rzewuski, J. Skrzypek, W. Szperling, K. Świderski, B. Świętorzecki, Wł. Zabiełło, St. Zaborowski i J. Żabiński.

Redaktor: Walenty Włodzimierz Garczyński. Wydawca: Polski Związek Łowiecki.

PRENUMERATA: Zgóry za kwartał zł. 7,50; za pół roku zł. 15; za rok zł. 28. Miesięcznie zł. 2,50. — Numer pojedyńczy 1 zł. Za zmianę adresu — 50 gr. Za numer reklamowany w przeciągu miesiąca — 25 gr.

CENY OGŁOSZEŃ: Milimetr za tekstem — 60 gr. Cała strona — 300 zł.; ½ — 150 zł.; ¼ — 75 zł.; ⅛ — 40 zł. Przed tekstem — 50% drożej. Za zastrzeżone miejsca dopłaca się 25%.
Drobne ogłoszenia — po 10 gr. za wyraz; grubemi literami — po 20 gr. za wyraz; mniejsze ogłoszenia — 1 zł. Przed tekstem 50% drożej. — Za zastrzeżone miejsca dopłaca się 25%. — Agentom nie wolno pobierać zaliczek.

Rękopisów redakcja nie zwraca i zastrzega sobie prawo czynienia zmian i skrótów w nadsyłanych artykułach, oraz decyzji co do terminu ich umieszczenia. Prosimy o nadsyłanie rękopisów wyłącznie pod adresem redakcji.

Redaktor przyjmuje rozmowy telefoniczne oraz interesantów w swem mieszkaniu prywatnem (Kredytowa 18 m. 3, tel. 604-25), codziennie, prócz sobót, między 3-ą i 4-ą pop.; w redakcji — w poniedziałki od 6-ej do 7-ej pop. — Biuro czynne od 9 do 3-ej i od 5-ej do 7-ej wiecz., w sobotę do godz. 3-ej.

Zarząd i Sekretarjat Polskiego Związku Łowieckiego tel. 6-66-15.

ADRES: NOWY ŚWIAT 35. TELEFON REDAKCJI I ADMINISTRACJI 607-98. KONTO P. K. O. 8082.

Zakł. Druk. F. Wyszyński i S-ka Warszawa